

JOSEPH CONRAD

TAJNY AGENT

Joseph Conrad

Tajny agent

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843442

Tajny agent:

Аннотация

Jedna z najlepszych powieści Conrada, zarazem jedyna rozgrywająca się nie na odległych i egzotycznych morzach, wyspach i lądach, lecz w samym sercu cywilizacji epoki pary i stali – w wiktoriańskim Londynie. Z powodu poruszanej tematyki w XXI wieku na nowo zyskała sobie żywe zainteresowanie. Za sprawą realizowanej przez anarchistów „propagandy czynem” pod koniec XIX stulecia Europa i Ameryka stały się widownią spektakularnych zamachów. W ciągu jednej dekady z rąk anarchistów zginął prezydent Francji, premier Hiszpanii, cesarzowa Austro-Węgier, król Włoch, prezydent Stanów Zjednoczonych. Lecz opinię publiczną bardziej szokowały terrorystyczne zamachy bombowe przeprowadzane w budynkach rządowych, w teatrach, kawiarniach, ułatwiane przez świeży wynalazek Nobla: dynamit. Rozmowa o zagadkowym zamachu imigranta-anarchisty, zamachu na symbol, zainspirowała Conrada do napisania dramatu psychologicznego, w którym sensacyjna, polityczno-kryminalna intryga staje się okazją do przenikliwej analizy pobudek i namiętności stojących za aktami przemocy.

Содержание

Przedmowa autora	5
I	16
II	26
III	63
IV	88
Конец ознакомительного фрагмента.	101

Joseph Conrad

Tajny agent

H. G. Wellsowi

kronikarzowi miłości pana Lewishama

biografowi Kippsa

i historykowi wieków przyszłych

poświęcam z przyjaźnią

tę prostą opowieść z wieku XIX

Przedmowa autora

Poczęcie *Tajnego agenta*: wybór tematu, sposób ujęcia go, cel artystyczny i wszelkie inne pobudki, które mogą skłonić pisarza do wzięcia za pióro – wszystko to, jak mi się zdaje, związane jest z przełomowym okresem mego umysłu i ducha.

Jest faktem niezaprzeczonym, że zacząłem tę książkę wiedziony nagłym porywem i pisałem ją bez przerwy. Kiedy w odpowiednim czasie pojawiła się w druku, krytycy zganili mnie za to, że w ogóle ją napisałem. Jedni sądzili mnie surowo, inni nade mną ubolewali. Nie mam przed oczami tych recenzji, ale pamiętam doskonale powtarzający się w nich zarzut – bardzo prosty; pamiętam także swoje zdumienie nad rodzajem tego zarzutu. Wszystko to wydaje mi się teraz zamierzchłą przeszłością! Nie są to jednak czasy bardzo odległe. Muszę stwierdzić, że w roku 1907 miałem jeszcze wiele z swej pierwotnej naiwności. Sądzę teraz, iż nawet ktoś naiwny mógł przewidzieć, co nastąpi, a mianowicie to, że niektórzy z krytyków wezmą za punkt wyjścia plugawe tło książki i jej moralny brud.

Ten zarzut jest oczywiście poważny. Nie wszyscy go jednak wysunęli. W gruncie rzeczy wygląda to niezbyt ładnie, że pamiętam tak nieliczne zarzuty wśród tylu ocen inteligentnych i życzliwych; mam jednak nadzieję, iż czytelnicy niniejszej przedmowy nie przypiszą tego zranionej miłości

własnej lub wrodzonemu popędowi do niewdzięczności. Pozwolę sobie nadmienić, że człek wyrozumiały mógłby przypisać tę wrażliwość na negatywną krytykę wrodzonemu mi skromnemu usposobieniu. A jednak niekoniecznie skromność każe mi wybrać owe zarzuty dla wyjaśnienia mej sprawy. Nie, właściwie nie jest to skromność i nie twierdzę wcale, abym się odznaczał skromnością; lecz ci, którzy śledzili moją twórczość, dadzą mi wiarę, iż pewne poczucie przyzwoitości, takt, *savoir faire*¹, czy ja wiem co jeszcze, powstrzymałyby mnie od wysnucia z ludzkich słów pochwalnego hymnu na własny rachunek. Tak! Wspominam owe negatywne krytyki z zupełnie innej przyczyny. Miałem zawsze skłonność do usprawiedliwiania swych czynów. Nie do ich obrony: do usprawiedliwiania. Nie upieram się, że mam słuszość, tylko po prostu tłumaczę, iż na dnie moich porywów nie było ani złośliwych intencji, ani ukrytej pogardy dla wrodzonej ludziom wrażliwości.

Słabość tego rodzaju można by nazwać niewinną, bo jest niebezpieczna z jednego tylko względu: grozi tym, że człowiek może się stać nudziarzem. Świat bowiem nie interesuje się na ogół przyczyną jakiegoś jawnego czynu, tylko jego skutkami. Wbrew mylnym pozorom ludzie nie wnikają w cudze pobudki. Lubią to, co oczywiste. Wzdragają się przed wyjaśnieniami. A jednak wyjaśnień nie zaprzestane. Jasne jest, że mogłem nie napisać tej książki. Nic mnie nie zmuszało do podjęcia takiego właśnie tematu; używam tu słowa temat nie tylko w

¹ *savoir faire* (fr.) – zręczność w postępowaniu z ludźmi. [przypis edytorski]

zastosowaniu do wątku samej opowieści, ale i w szerszym pojęciu, obejmującym pewien szczególny przejaw w życiu ludzkości. Przyznaję, że mogłem tej książki nie pisać. Lecz myśl stworzenia samej brzydoty jedynie w tym celu, aby zgorszyć lub zaskoczyć czytelników zmianą stanowiska – taka myśl nigdy nie powstała mi w głowie. Stwierdzam to, spodziewając się, że czytelnicy dadzą mi wiarę nie tylko ze względu na zasadnicze rysy mego charakteru, ale również i z tej przyczyny, która dla każdego jest oczywista, że sam sposób ujęcia tematu, że przenikające powieść oburzenie zaprawione litością i wzgardą dowodzi mego oderwania od brudu i plugastwa, tkwiących po prostu w zewnętrznych okolicznościach tła.

Zacząłem *Tajnego agenta* bezpośrednio po dwuletnim okresie, w czasie którego byłem pochłonięty bez reszty pracą nad *Nostromem*, powieścią o obcym temacie, o atmosferze obcej, latynoamerykańskiej, tudzież pracą nad ściśle osobistym *Zwierciadłem morza*. Pierwsza z tych książek jest zapamiętałym wysiłkiem dążącym do stworzenia powieści, która pozostanie chyba na zawsze mym dziełem o największej rozpiętości; druga zaś usiłuje szczerze wydobyć na jaw głęboką moją zażyłość z morzem i wpływy, które urabiały mnie niemal przez połowę życia, w tym okresie wspomagała mnie w zgłębianiu prawdy bardzo wielka pobudliwość wyobraźni i uczuć; owa pobudliwość, choć na wskroś szczerą i wierną faktom, przyprowadziła mnie (już po ukończeniu pracy) o wrażenie, że straciwszy cel z oczu, zagubiłem się wśród zetlałych uczuć w

świecie innych, niższych wartości.

Nie umiem powiedzieć, czy istotnie pragnąłem wówczas zmiany, zmiany wyobraźni, wizji i postawy duchowej. Myślę raczej, że choć tego nie czułem, zasadnicza zmiana nastroju już się była we mnie dokonała. Nie pamiętam, aby w owym czasie zaszedł jakiś określony fakt. Ukończyłem *Zwierciadło morza* z pełną świadomością tego, że w każdym wierszu tej książki jestem uczciwy zarówno względem siebie, jak względem czytelnika, i na jakiś czas oddałem się dość przyjemnemu wypoczynkowi. I wówczas to, kiedy tkwiłem jeszcze w miejscu, że się tak wyrażę, i kiedy ani mi się śniło zbacać z drogi, aby szukać czegoś „brzydkiego”, nastreczył mi się temat do *Tajnego agenta* (mam na myśli powieść, nie dramat) w postaci kilku słów wypowiedzianych przez znajomego podczas jakiejś rozmowy o anarchistach, a raczej o działalności anarchistycznej; skąd ta rozmowa wynikała, już sobie dziś nie przypominam.

Pamiętam jednak, że mówiłem o zbrodniczej jałowości anarchizmu, o jałowości jego doktryny i wprowadzania jej w czyn, o jałowej umysłowości jego wyznawców; o tym, jak nędzną wydaje mi się ta na wpół obłądna poza, podobna do bezczelnego oszustwa żerującego na dotkliwym nieszczęściu i namiętnej łatwowierności rodzaju ludzkiego, który z taką tragiczną skwapliwością dąży zawsze do własnej zguby. Dla tej właśnie przyczyny nie mogłem wybaczyć anarchizmowi jego filozoficznych uroszczeń. Rozmowa zesłała na przykłady z życia i wspomnieliśmy dawną już sprawę zamachu, mającego na

celu wysadzenie w powietrze obserwatorium w Greenwich² – ów absurd krwawy i tak niepočzytalny, że niepodobna³ było zgłębić jego przyczyn, czy to rozumując logicznie, czy wszelką logikę odrzucając. Gdyż w obłędnym absurdzie tkwi również specyficzna logika. Lecz nie dało się w żaden sposób pochwycić sensu tego zamachu; pozostał tylko fakt: człowiek rozszarpany na strzępy, przy czym nic nie wskazywało, aby wchodziła tu w grę jakaś idea, czy to anarchistyczna, czy jakakolwiek inna. Co się zaś tyczy murów obserwatorium, nie ukazało się na nich najlżejsze nawet pęknięcie.

Przypomniałem to wszystko memu znajomemu; milczał przez chwilę, a potem rzekł z właściwą sobie obojętnością człowieka, który wie wszystko: „Ależ ten człowiek był na wpół idiotą. Jego siostra odebrała sobie potem życie”. Były to jedyne słowa, jakie zamieniliśmy; oniemiałem na chwilę, zdumiony nieoczekiwaną wiadomością, a mój znajomy zaczął natychmiast mówić o czymś innym. Nie przyszło mi wcale do głowy zapytać później, skąd ma tę informację. Wiem, że wszystkie jego związki ze światem podziemnym polegały co najwyżej na tym, iż może raz w życiu widział z daleka jakiego anarchistę. Ale lubił

² *zamach, mający na celu wysadzenie w powietrze obserwatorium w Greenwich* – 15 lutego 1894 r. w Greenwich Park na obrzeżach Londynu, ok. 50 metrów od budynku Królewskiego Obserwatorium Astronomicznego, francuski anarchistę Martial Bourdin został śmiertelnie ranny w przedwczesnym wybuchu przenoszonej przez siebie bomby. Niedoszły zamachowiec zmarł wkrótce potem od obniesionych ran, cel i motywy planowanego ataku pozostały nieznane. [przypis edytorski]

³ *niepodobna* (daw.) – nie można, nie da się, jest niemożliwe. [przypis edytorski]

rozmawiać z najróżniejszymi ludźmi i mógł dowiedzieć się owych rewelacyjnych szczegółów z drugich lub trzecich ust, od zamiataacza ulic, od dymisjonowanego urzędnika policji, od pierwszego lepszego członka klubu, może nawet od ministra spotkanego na publicznym lub prywatnym przyjęciu.

Że owe szczegóły były rewelacyjne, nie miałem co do tego wątpliwości. Czułem się jak człowiek, który wyszedł z lasu na równinę – niewiele tam było widać, ale światła miało się pod dostatkiem. Tak, niewiele było tam widać, i mówiąc szczerze, przez długi czas nie usiłowałem nawet nic dostrzec. Pozostało mi tylko wrażenie rozwiązanej zagadki, wrażenie miłe, lecz pozbawione twórczych podniet.

Jakoś w tydzień później natknąłem się na książkę, która, o ile wiem, nie zdobyła nigdy rozgłosu; były to dość powierzchowne wspomnienia nadinspektora policji, człowieka widać zdolnego, o nastawieniu wybitnie religijnym. Został urzędnikiem w czasie londyńskich zamachów dynamitowych na początku lat osiemdziesiątych. Książka była całkiem interesująca i oczywiście bardzo dyskretna; zapomniałem już teraz, co zawierała. Nie przynosiła żadnych rewelacji; autor prześlizgiwał się w miły sposób po powierzchni zdarzeń i to było wszystko. Nie będę nawet usiłował wyjaśnić, dlaczego mnie uderzył niewielki ustęp, około siedmiu wierszy, ustęp, w którym autor (nazywał się chyba Anderson⁴) przytaczał swoją krótką rozmowę w

⁴ Anderson, Robert (1841–1918) – nadkomisarz policji londyńskiej (1888–1901), napisał wspomnienia pt. *Sidelights on the Home Rule Movement* (1906), na które

kułuarach Izby Gmin z ministrem spraw wewnętrznych, sir Williamem Harcourtem⁵, o ile pamiętam. Minister był bardzo zirytowany, a urzędnik tłumaczył się gęsto. Z trzech zdań, które wymienili, najbardziej mnie uderzyło gniewne powiedzenie sir Williama: „Wszystko to bardzo pięknie. Ale widać tam u was tajemnica służbowa polega na tym, żeby ministra o niczym nie zawiadamiać”. Słowa te były dość charakterystyczne dla usposobienia Sir Williama Harcourta, lecz same przez się nie miały szczególnej wagi. Jednak musiała być w tym dialogu pewnego rodzaju atmosfera, bo nagle uczułem jakąś podniecie. A potem nastąpiło we mnie coś, co student chemii najlepiej by zrozumiał, gdyby to określić przez analogię jako proces krystalizacji, wywołany przez dodanie drobnej kropli odpowiedniego płynu do próbówki zawierającej jakiś bezbarwny roztwór.

Z początku odczułem jakby zmianę duchowego klimatu, zmianę, która zmąciła mą ukojoną wyobraźnię; zaczęły przede mną się zjawiać dziwne postacie o konturach zarysowanych wyraźnie, lecz trudno uchwytnych; przykuwały moją uwagę, jak kryształ, dziwacznością niespodziewanych kształtów. Zastanowił mnie ten objaw, którego już doznawałem w stosunku do Ameryki Południowej, kontynentu o surowym blasku słońca i brutalnych rewolucjach, a także i w stosunku do morza, rozległej

powołuje się Conrad. [przypis edytorski]

⁵ *Harcourt, William Vernon* (1827–1904) – bryt. polityk, prawnik i dziennikarz, minister spraw wewnętrznych w latach 1880–1885. [przypis edytorski]

przestrzeni słonych wód, zwierciadła uśmiechów i gniewu nieba, reflektora słonecznych blasków. Potem zjawiała się przede mną wizja olbrzymiego miasta, miasta-kolosa o ludności liczniejszej niż ludność niektórych kontynentów; miasta, co w swej potędze, stworzonej przez człowieka, nie dba o uśmiechy nieba lub jego gniew i jest okrutnym pożeraczem słonecznego blasku. W tym mieście dość jest miejsca dla każdej opowieści, dość głębi dla każdego uczucia, dość różnaitości dla wyposażenia każdego tła, dość mroku dla wchłonięcia pięciu milionów ludzi.

Nieodpartą koleją rzeczy stało się owo miasto tłem dla następnego okresu mych dociekliwych rozmyślań. Nieskończone perspektywy odsłoniły się przede mną w różnych kierunkach. Upłyną lata, nim znajdę właściwą drogę! Zdawało mi się, że trzeba na to lat!... Zaczęło się we mnie rodzić przekonanie o namiętnej miłości matczynej pani Verloc i rozpałiło się z wolna płomieniem między mną a tłem miasta; zabarwiło je swym ukrytym żarem i nasiąkło w zamian mrocznym kolorytem Londynu. Wreszcie historia Winnie Verloc wystąpiła przede mną w całości, od dzieciństwa Winnie aż do końca; nie chwyciałem jeszcze właściwych proporcji, wszystko było jakby na pierwszym planie, ale cały materiał miałem już w ręku. Trwało to około trzech dni.

Niniejsza książka jest właśnie ową historią sprowadzoną do właściwych rozmiarów, a punktem centralnym, dokoła którego oplata się cały wątek, jest okrutny absurd wybuchu w Greenwich Park. Miałem tu zadanie, nie powiem ciężkie, lecz trudne i

pochłaniające. Ale doprowadzić je do końca musiałem. To była konieczność. Wynikiem tej właśnie konieczności są otaczające panią Verloc postacie, związane bezpośrednio lub też pośrednio z tragicznym jej przekonaniem, że „życie nie znosi, aby je zanadto zgłębiać”. Osobiście wcale o tym nie wątpiłem, iż historia pani Verloc jest prawdziwa, ale musiałem ją wydobyć na jaw z olbrzymiego miasta i uczynić prawdopodobną, przy czym mozoliłem się mniej nad wiarygodnością samej Winnie niż nad wiarygodnością jej otoczenia, mniej nad jej psychologią niż nad jej ludzką treścią. Materiału do odtworzenia tła miałem pod dostatkiem. Musiałem walczyć zawzięcie, aby utrzymać w przyzwoitej odległości wspomnienia swych dawnych samotnych przechadzek nocą po Londynie, bo inaczej byłyby się wdarły i przytłoczyły każdą stronę powieści, w miarę jak te strony wyłaniały się jedna za drugą wśród głębokiej powagi mych uczuć i myśli, gdyż nigdy nie byłem bardziej przejęty swoim tematem. W związku z tym pragnę zaznaczyć, że *Tajny agent* jest książką bardzo szczerą. Nawet cel czysto artystyczny – użycie ironii do tego rodzaju tematu – został powzięty z całą rozważą, w głębokim przekonaniu, że tylko ironiczne podejście do rzeczy umożliwi mi wypowiedzenie wszystkiego, co wypowiedzieć pragnąłem ze wzdargą czy też ze współczuciem. Zaliczam to do przyjemności mego literackiego życia, że powziąwszy raz owo postanowienie, zdołałem, jak sędzę, przeprowadzić je aż do końca. Co się zaś tyczy osób, które bezwzględna konieczność sprawy – sprawy pani Verloc – wprowadza na tło Londynu,

dały mi one również te drobne przyjemności, co naprawdę są tak wielką pomocą w walce z przygnębiającym zwątpieniem, które prześladowuje uporczywie każdy twórczy wysiłek. Na przykład o samym panu Włodimirze (nadawał się doskonale do karykatury) wysłuchałem z zadowoleniem opinii pewnego doświadczonego światowca, który, jak mi powtórzono, odezwał się w te słowa: „Conrad musiał być w kontakcie z tą sferą, a może ma tak niezawodną intuicję, bo pan Włodimir jest nie tylko prawdopodobny w szczegółach, lecz zgodny z prawdą w rysach zasadniczych”. Poza tym pewien mój gość z Ameryki opowiadał, jakoby różnego rodzaju emigranci rewolucyjni w Nowym Jorku twierdzili, że *Tajny agent* jest napisany przez kogoś, kto dużo wie o nich. Uznałem to za bardzo wielki komplement, zważywszy, że Bogiem a prawdą miałem z nimi styczność jeszcze luźniejszą niż ów wszechwiedzący przyjaciel, który dał mi pierwszy pomysł do *Tajnego agenta*. Mimo to twierdzę, iż w czasie pisania tej powieści czułem się chwilami skrajnym rewolucjonistą, niekoniecznie bardziej zaciekłym od owych emigrantów z Nowego Jorku, lecz bez wątpienia dążącym do celu z zawziętością, na którą żaden z nich nigdy się nie zdobył. Nie są to z mej strony przechwałki. Po prostu spełniałem to, co do mnie należało. W stosunku do swych książek spełniałem zawsze to, co do mnie należało – z najgłębszym przejęciem. To oświadczenie również nie jest przechwałką. Nie mógłbym postępować inaczej. Udawanie zanadto by mnie nużyło.

Pomysły do niektórych osób z powieści, zarówno tych, co

są w zgodzie z prawem, jak i występnych, pochodzą z różnych źródeł, które czytelnik może tu i ówdzie rozpoznać. Nie są ukryte głęboko. Ale zamiar usprawiedliwienia którejkolwiek z tych postaci jest ode mnie daleki; nawet jeśli chodzi o stosunek moralny przestępców do policji i odwrotnie, pozwolę sobie tylko nadmienić, że mój zasadniczy pogląd na tę sprawę jest łatwy do uzasadnienia.

Dwanaście lat, które upłynęły od wydania książki, nie zmieniły w niczym mych zapatrywań. Nie żałuję, że ją napisałem. W ostatnich czasach okoliczności, niemające nic wspólnego z zasadniczą treścią niniejszej przedmowy, zmusiły mnie do odarcia powieści z jej literackich szat pogardy i oburzenia⁶, szat, w które przed laty ubrałem ją gwoździ przyzwoitości z tak wielkim trudem. Byłem zmuszony, że tak powiem, spojrzeć na jej nagi szkielet; wyznam, iż jest przerażający. Mimo to jednak twierdzę, że opowiadając dzieje Winnie Verloc aż do anarchistycznego ich kresu, opisując zupełne jej osamotnienie, obłęd i rozpacz tak, jak to uczyniłem, nie miałem zamiaru znęcać się bez powodu nad uczuciami ludzkości.

1920

J. C.

⁶ *okoliczności (...) zmusiły mnie do odarcia powieści z jej literackich szat pogardy i oburzenia* – Conrad wspomina tu o swej przeróbce na scenę powieści *Tajny agent*. [przypis tłumacza]

I

Pan Verloc, wychodząc rano na miasto, zostawił sklep niby to pod opieką szwagra. Mógł sobie na to pozwolić, bo przez cały dzień ruch był niewielki, pod wieczór zaś ustawał prawie zupełnie. A przy tym żona Verloca opiekowała się jego szwagrem. Zresztą pan Verloc niewiele dbał o handel, z którego pozornie się utrzymywał.

Sklep był mały, dom także. Zaliczał się do tych brudnych ceglanych budynków, których istniało mnóstwo, nim era przebudowy zaświtała nad Londynem. Przypominał kwadratowe pudło o froncie oszklonym małymi szybami. Za dnia drzwi sklepu były zamknięte; wieczorem uchylano je w sposób dyskretny, lecz podejrzany.

Wystawa zawierała fotografie tancerek w strojach mniej lub więcej skąpych, jakieś nieokreślone paczki podobne do leczniczych specyfików, żółte zalepione koperty z cienkiego papieru, oznaczone ceną dwóch i pół szylinga⁷ wypisaną wielkimi czarnymi cyframi; w poprzek okna wisiały na sznurku stare francuskie pisma humorystyczne, jakby się suszyły; były tam jeszcze różne inne przedmioty – ciemnoniebieska miska porcelanowa, szkatułka z czarnego drzewa, butelki wiecznego atramentu, stemple gumowe; dalej kilka książek z nagłówkami

⁷ *szyling* – dawna angielska jednostka monetarna. Szyling był równy 1/20 funta i dzielił się na 12 pensów. [przypis edytorski]

zatrącającymi pornografią i parę egzemplarzy najwidoczniej starych gazet o lichym druku i nieznanych tytułach, jak „Pochodnia”, „Gong” – tytułach-pobudkach. Dwa płomyki gazu na wystawie⁸ były zawsze przykręcone, może przez oszczędność, a może ze względu na klientów.

Owymi klientami byli albo młodzi chłopcy, którzy ociągali się czas jakiś przed wystawą, nim wśliznęli się nagle do sklepu, albo ludzie w wieku bardziej dojrzałym, niewyglądający zwykle na zamożnych. Niektórzy mieli kołnierze palt podniesione, tak że sięgały wąsów; spodnie, zbryzgane u dołu błotem, były znoszone i liche. A i nogi tkwiące w tych spodniach przedstawiały się na ogół nieszczególnie. Z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie palt wsuwali się bokiem do sklepu, jakby w obawie, aby dzwonek się nie odezwał.

A dzwonek, wiszący u drzwi na wygiętej stalowej taśmie, niełatwo dawał się podejść. Był pęknięty na amen, ale wieczorem przy najłżejszym poduszczeniu grzechotał za plecami klienta beczelnie i jadowicie.

Grzechotał – a na to hasło w brudnych szklanych drzwiach za pomalowaną ładą z drzewa sosnowego stawał pan Verloc, wyłaniając się szybko z pokoju za sklepem. Powieki z natury miał ciężkie; wyglądał, jakby się cały dzień tarzał w ubraniu po

⁸ Dwa płomyki gazu na wystawie – pod koniec XIX w. w dużych miastach Anglii powszechnie używano zasilanych z gazowni lamp gazowych, emitujących silne światło dzięki rozgrzewaniu do białości siatki żarowej płomieniem spalanego gazu; oświetlano nimi ulice, budynki publiczne, warsztaty, sklepy, a także domy klasy średniej. [przypis edytorski]

niezasłanym łóżku. Kto inny na jego miejscu byłby rozumiał, że taki wygląd wyraźnie mu szkodzi. W transakcjach detalicznego handlu wiele zależy od ujmującej, miłej powierzchowności kupca. Ale pan Verloc znał swój fach i nie przejmował się brakiem estetyki we własnym wyglądzie. Spoglądał na gościa twardym wzrokiem ze spokojną bezczelnością, niby odpierając z góry możliwość jakiejś ohydnej groźby, i zabierał się do sprzedawania poprzez ladę przedmiotów, które najoczywściej nie były warte żądanej ceny, skandalicznie wysokiej; mogło to być na przykład pudełeczko z tektury wyglądające, jakby nic nie zawierało, albo jedna z owych lichych, starannie zalepionych żółtych kopert, albo nieoprawna, wybrudzona książka o obiecującym tytule. Zdarzało się, że któraś z wypłowiałych, pożółkłych tancerek znajdowała nabywcę, jakby była żywa i młoda.

Czasem na wezwanie pękniętego dzwonka ukazywała się pani Verloc. Winnie Verloc była młodą kobietą o szerokich biodrach i wydatnym biuście opiętym w ciasny stanik. Uczesana była bardzo starannie. Oczy miała spokojne podobnie jak mąż i stając za osłoną lady, zachowywała nieprzeniknioną obojętność. Niejeden klient w wieku stosunkowo młodym mieszał się nagle, widząc, że ma do czynienia z kobietą; ze wściekłością w sercu prosił o butelkę wiecznego atramentu wartości sześciu pensów (w sklepie Verloca kosztowała półtora szylinga) i znalazłszy się na ulicy, rzucał ją ukradkiem do rynsztoka.

Goście, którzy przychodzili wieczorem – ci w nastawionych

kołnierzach i miękkich kapeluszach opuszczonych na oczy – witali panią Verloc poufąłym skinieniem głowy; mruknawszy coś na powitanie, podnosili klapę u końca lady, aby przejść do saloniku, skąd korytarz prowadził dalej na strome schody. Drzwi od sklepu były jedynym wejściem do domku, gdzie pan Verloc prowadził swój handel polegający na sprzedaży podejrzanych towarów. Tam też spełniał swe powołanie obrońcy społeczeństwa i uprawiał cnoty domowe. Te ostatnie były wybitne. Pan Verloc lubił bardzo siedzieć w domu. Żadne jego potrzeby, ani duchowe, ani umysłowe, ani fizyczne, nie zmuszały go do przebywania długo na mieście. Miał w domu wygodę dla ciała, spokój sumienia, tudzież małżeńską troskliwość żony i pełne szacunku względy teściowej.

Matka Winnie była to tęga kobieta o wielkiej brunatnej twarzy i sapliwym głosie. Nosiła czarną perukę pod białym czepkiem. Wskutek opuchniętych nóg nie mogła się niczym zajmować. Twierdziła, że rodzina jej pochodzi z Francji, co mogło być i prawdą; gdy po wielu latach pożycia umarł jej mąż, właściciel sklepu kolonialnego niższej kategorii, zarabiała na życie, odnajmując umeblowane pokoje niedaleko Vauxhall Bridge Road, przy skwerze, który cieszył się dawniej niejakim splendorem i należał jeszcze wciąż do dzielnicy Belgravia⁹. Chociaż ten fakt topograficzny stanowił zaletę, gdy się ogłaszało o pokojach do wynajęcia, lokatorzy zaczęj

⁹ *Belgravia* – ekskluzywna dzielnica mieszkaniowa w środkowej części Londynu, powstała w poł. XIX w. [przypis edytorski]

wdowy nie należeli do ludzi szykownych. Niemniej córka jej, Winnie, pomagała ich obsługiwać. Ślady francuskiego pochodzenia, którymi chełpiła się wdowa, były widoczne i w powierzchowności jej córki; przejawiały się w niezmiernie schludnym i estetycznym upięciu lśniących, czarnych włosów. Winnie miała jeszcze inne uroki: młodość, okrągłe kształty, świeżą cerę i niezmierną, aż wyzywającą powściągliwość, która jednak nigdy nie powstrzymywała jej od rozmowy z lokatorami, prowadzonej przez nich z ożywieniem, a przez nią z zawsze równą uprzejmością.

Pan Verloc uległ widocznie tym ponętom. Nie był lokatorem stałym. Przyjeżdżał i wyjeżdżał bez żadnej wyraźnej przyczyny. Przybywał zwykle (jak *influenca*¹⁰) z kontynentu, z tą różnicą, że nie był zapowiadany przez prasę. Jego wizytom towarzyszył nastrój wielkiej powagi. Śniadanie jadał w łóżku, gdzie z miną spokojną i zadowoloną wylegiwał się do południa – czasem nawet i dłużej. Ale gdy już raz wyszedł na miasto, zdawało się, że ma wielkie trudności w odnalezieniu drogi powrotnej do swego chwilowego mieszkania przy Belgravian Square. Opuszczał je późno i wracał wcześniej – o jakiejś trzeciej albo czwartej nad ranem; budził się o dziesiątej, a gdy Winnie przynosiła mu śniadanie, odzywał się do niej z żartobliwą uprzejmością głosem ochryłym i wyczerpanym, jak człowiek, który mówił z zapalem wiele godzin z rzędu. Przewracał tęsknie i zalotnie wypukłymi oczami o ciężkich powiekach, podciągając kołdrę aż pod brodę;

¹⁰ *influenca* a. *influenza* (daw.) – grypa. [przypis edytorski]

ciemne, gładkie wąsy zakrywały jego grube wargi, skłonne do wypowiedziania przymilnych żartów.

Matka Winnie była zdania, że pan Verloc jest człowiekiem bardzo przyzwoitym i sympatycznym. Z doświadczenia nabytego w różnych „interesach handlowych” pocziwa kobiecina stworzyła sobie pojęcie o ideale dżentelmena na wzór mężczyzn stołujących się w barach. Pan Verloc zbliżał się do tego ideału, a nawet go osiągał.

– Twoje meble, mamó, zabierzemy naturalnie z sobą – oświadczyła Winnie.

Trzeba było skończyć z wynajmowaniem umeblowanych pokoi. Okazało się, że dalsze prowadzenie tego interesu byłoby nie na miejscu. Sprawiłoby panu Verlocowi zbyt wiele kłopotu. Przeszkadzałoby mu w jego drugim zajęciu. Pan Verloc nie wyjawiał, na czym polegało to zajęcie, ale po zaręczynach z Winnie zdobywał się na wstawanie z łóżka przed południem i zszedłszy na dół po schodach, zabawiał rozmową matkę Winnie w pokoju śniadaniowym znajdującym się w suterenie, gdzie wiodła życie pozbawione ruchu. Głaskał kota, poprawiał ogień na kominku, wreszcie jadł drugie śniadanie. Opuszczał z widoczną niechęcią ten przytulny, nieco duszny pokój, ale mimo to wracał dopiero późną nocą. Nigdy nie zapraszał Winnie do teatru, co powinien był uczynić człowiek tak dobrze wychowany. Wieczory miał zawsze zajęte. Raz powiedział, że jego praca jest w pewien sposób związana z polityką. Upowiedział Winnie, iż będzie musiała zachowywać się bardzo

uprzejmie względem jego politycznych kolegów. Spojrzała na niego uczciwie niezgłębionymi oczami i odrzekła, że to się samo przez się rozumie.

Co jej mówił ponadto o swym zajęciu, tego matka Winnie przeniknąć nie mogła. Małżonkowie zabrali ją na nowe mieszkanie razem z meblami. Nędzny wygląd sklepu ją zdumiał. Zamiana skweru Belgravii na wąską uliczkę w dzielnicy Soho¹¹ wpłynęła źle na jej nogi. Spuchły do niemożliwych rozmiarów. Natomiast pozbyła się zupełnie trosk materialnych. Posepna dobroduszość zięcia natchnęła ją poczuciem pełnego bezpieczeństwa. Przyszłość córki była oczywiście zapewniona, a nawet i o syna, Steviego, staruszka nie potrzebowała się już niepokoić. Musiała przyznać w duchu, że ten biedny Stevie był źródłem strasznych kłopotów. Lecz wzięwszy pod uwagę przywiązanie Winnie do jej słabowitego brata oraz dobrotliwe i hojne usposobienie pana Verloca, matka czuła teraz, że jej biedny chłopiec jest całkiem bezpieczny na tym burzliwym padole. W gruncie rzeczy może się i nie martwiła, iż Verlocowie nie mają dzieci. Zdawało się, że pan Verloc wcale się tym nie trapi, a ponieważ Winnie znalazła w swym bracie przedmiot prawie matczynego przywiązania, więc chyba wszystko to wyjdzie nieborakowi na dobre.

Trudno było wynaleźć chłopcu jakieś zajęcie. Wyglądał na

¹¹ *Soho* – centralna część dzielnicy West End w Londynie; w XIX w. gęsto zaludniona przez napływających imigrantów, mająca fatalną reputację jako miejsce rozpusty i występku. [przypis edytorski]

delikatnego i był ładny mimo opuszczonej bezmyślnie dolnej wargi. Dzięki naszemu świetnemu systemowi przymusowego nauczania¹² umiał czytać i pisać, w czym nieszczęśliwy wygląd dolnej wargi mu nie przeszkodził. Lecz pracując jako goniec, nie osiągnął powodzenia. Zapominał, w jakim celu został wysłany, a z prostej drogi obowiązku sprowadzały go łaćno przynęty w postaci zbłąkanych kotów i psów, za którymi snuł się po wąskich uliczkach prowadzących na cuchnące podwórza. Wpatrywał się z otwartymi ustami w sceny uliczne, narażając na szwank interesy swego chlebodawcy; pochłaniały go także dramaty przewróconych koni. Groza i gwałtowność tych scen wrywały mu niekiedy przenikliwe krzyki, gdy stał wśród tłumu, a tłum nie lubi, aby odgłosy bólu przeszkadzały mu w spokojnym rozkoszowaniu się narodowym widowiskiem. Kiedy poważny, opiekuńczy policjant odprowadzał Stegiego, okazywało się często, że nieborak zapomniał – przynajmniej na pewien czas – gdzie mieszka. Zapytany nagle, zaczynał się jąkać aż do utraty tchu. Kiedy go coś zaskoczyło i zakłopotowało, zezował w okropny sposób, ale nie miewał żadnych ataków (co było pocieszające). W dzieciństwie mógł zawsze się schronić za krótką spódniczkę siostry Winnie, uciekając przed naturalnymi wybuchami niecierpliwości ze strony ojca.

Skądinąd można było Stegiego podejrzewać, że tai w

¹² *Dzięki naszemu świetnemu systemowi przymusowego nauczania umiał czytać i pisać* – w 1870 wprowadzono w Anglii przepisy o obowiązkowej edukacji podstawowej wszystkich dzieci w wieku 5–12 lat. [przypis edytorski]

sobie całe mnóstwo beczelnych psot. Gdy skończył lat czternaście, przyjaciel jego zmarłego ojca, agent zagranicznej firmy wyrabiającej skondensowane mleko, nastęrczył chłopcu sposobność do rozpoczęcia kariery, dając mu w biurze miejsce gońca. Tymczasem w pewne mgliste popołudnie okazało się, że Stevie podczas nieobecności szefa zaczął puszczać fajerwerki na klatce schodowej. Wypuścił jedną po drugiej całą serię wściekłych rakiet, gniewnie wirujących słońc, głośno wybuchających szmermeli¹³ – i sprawa mogła wziąć obrót bardzo poważny. Okropny popłoch wybuchł w całym budynku. Krztuszający się urzędnicy o błędnych oczach pędzili korytarzami pełnymi dymu; po schodach toczyły się cylindry, osobno zaś toczyli się interesanci w podeszłym wieku.

Zdawało się, że postępek Stewiego nie sprawił mu żadnej przyjemności. Trudno było zrozumieć, co go pobudziło do tego oryginalnego czynu. Dopiero w jakiś czas później Winnie wydobyła z niego mętne i bezładne wyznanie. Okazało się, że dwaj gońcy z tego samego domu, drażniąc chłopca opowiadaniem różnych historii o niesprawiedliwości i wyzysku, doprowadzili w końcu jego współczucie do stanu wrzenia. Oczywiście przyjaciel ojca z miejsca odprawił Stewiego, bojąc się, aby tego rodzaju wybryki nie zrujnowały przedsiębiorstwa. Po tym altruistycznym czynie używano chłopca do zmywania naczyń w kuchni i do czyszczenia butów panom zajmującym umeblowane pokoje. Taka praca nie miała

¹³ *szmermel* (przest.) – rasa, wężykowaty fajerwerk. [przypis edytorski]

oczywiście przyszłości. Od czasu do czasu Stevie dostawał od lokatorów po szylingu. Pan Verloc okazał się najhojniejszy. Ale wszystko razem nie wynosiło wiele i nie otwierało pomyślnych perspektyw, więc też gdy Winnie oznajmiła, że pan Verloc jest z nią zaręczony, matka jej spojrzała z westchnieniem w stronę kuchni, zadając sobie pytanie, co teraz będzie z biednym Stephenem.

Okazało się, że pan Verloc gotów jest go zabrać razem z teściową i umeblowaniem, które stanowiło cały majątek rodziny. Pan Verloc przygarnął do szerokiej, dobroduszej piersi wszystko, co mu się nasunęło. Meble zostały rozmieszczone możliwie najkorzystniej po całym domu, ale teściowej przydzielono tylko dwa parterowe pokoje od podwórza. W jednym z nich spał biedny Stevie. Rzadki, puszysty zarost przesłaniał już wówczas złotą mgiełką ostre kontury jego cofniętej dolnej szczęki. Pomagał siostrze w gospodarstwie ze ślepą miłością i posłuszeństwem. Pan Verloc uważał, że trochę zajęcia wyjdzie mu na użytek. Cały swój wolny czas poświęcał Stevie rysowaniu cyrklem i ołówkiem kół na kawałku papieru. Pochylony nisko nad kuchennym stołem, rozstawiał szeroko łokcie, przykładając się z wielką pilnością do tej rozrywki. Przez otwarte drzwi saloniku sąsiadującego ze sklepem Winnie spoglądała nań od czasu do czasu z macierzyńską czujnością.

II

Taki oto dom, taki warsztat pracy i takich domowników opuścił pan Verloc, dążąc o pół do jedenastej rano ku zachodniej części Londynu. Była to dlań wyjątkowo wczesna godzina; z całej jego osoby bił urok prawie nieskalanej świeżości; granatowe sukienne palto było rozpięte, buty lśniły, na ogolonych policzkach igrało coś na kształt połysku; nawet oczy o ciężkich powiekach, pokrzepione całonocnym spokojnym snem, rzucały dość rażne spojrzenia. Przez ogrodzenie parku pan Verloc przyglądał się mężczyznom i kobietom jadącym konno po Row¹⁴, parom, które sunęły harmonijnie lekkim galopem lub jechały statecznego stępa, niespiesznym grupom złożonym z trzech lub czterech osób, pojedynczym jeźdźcom wyglądającym na odludków i samotnym amazonkom, za którymi trzymał się w oddali chłopak stajenny w kapeluszu ozdobionym kokardą, ubrany w obcisłą liberię przepasaną skórzanym pasem. Pojazdy, przeważnie dwukonne karety, toczyły się szybko; czasem trafiał się kabriolet, a wewnątrz niego skóra jakiegoś dzikiego zwierzęcia i wyłaniająca się z opuszczonej budy kobieca głowa w kapeluszu. Charakterystyczne słońce londyńskie, któremu można zarzucić tylko to, że wygląda jak nabiegłe krwią, powlekało wszystko wspaniałością swego spojrzenia. Tkwiło

¹⁴ *Rotten Row* – modna droga dla jeźdźców biegnąca wzdłuż pld. strony londyńskiego Hyde Parku. [przypis edytorski]

niezbyt wysoko nad Hyde Park Corner¹⁵, jakby strzegło wszystkiego, dobrodusze i punktualne. Nawet bruk pod nogami pana Verloca nabrał barwy starego złota w tym rozproszonym świetle, w którym ani mur, ani drzewo, ani zwierzę, ani człowiek nie rzucali cienia.

Pan Verloc szedł ku zachodowi przez miasto pozbawione cieni i powietrze przesyczone spatynowanym złotym pyłem. Czerwone jak miedź połyski lśniły na dachach, na załomach murów, na szybach pojazdów, nawet na sierści koni i na szerokich plecach pana Verloca, gdzie wyglądały jak ciemna rdza. Ale pan Verloc nie zdawał sobie sprawy, że rdza na nim osiada. Jego życzliwy wzrok padał przez ogrodzenie na oznaki londyńskich bogactw i zbytku. Tak jest, wszystkich tych ludzi trzeba otoczyć opieką. Opieka jest pierwszym warunkiem bogactwa i zbytku. Trzeba otoczyć opieką tych ludzi, zarówno jak ich konie, powozy, domy, służbę; trzeba otoczyć opieką źródło ich bogactw w sercu miasta i w sercu kraju; trzeba otoczyć opieką cały społeczny ład sprzyjający higienicznej beczynności tej sfery, trzeba jej strzec przed płytką zawiścią niehigienicznej pracy. Trzeba to zrobić koniecznie – tu pan Verloc byłby zatarł ręce z zadowoleniem, gdyby nie miał wrodzonej niechęci do wszelkich niepotrzebnych wysiłków. Beczynność jego, choć nie podyktowana przez higienę, dogadzała mu bardzo. Miał dla niej pewnego rodzaju kult nacechowany bezwładnym fanatyzmem, a może raczej

¹⁵ *Hyde Park Corner* – obszar Londynu w okolicy pld.-wsch. narożnika Hyde Parku, gdzie krzyżuje się kilka głównych ulic. [przypis edytorski]

fanatycznym bezwładem. Syn pracowitych rodziców, urodzony na znojne życie, oddał się gnuśności z popędu równie głębokiego, niepojętego i władczego jak popęd, który skłania mężczyznę do wyboru jednej kobiety spośród tysiąca. Był za gnuśny nawet na demagoga, na wiecowego mówcę, na przywódcę robotników. To by go kosztowało zbyt wiele trudu. Potrzebował wygody w formie bardziej doskonałej, a może ośwładnęła nim filozoficzna niewiara w skuteczność każdego ludzkiego wysiłku. Ten ostatni rodzaj lenistwa wymaga pewnego zasobu inteligencji.

Panu Verlocowi inteligencji nie brakowało i byłby może mrugnął do siebie znacząco na myśl o zagrożonym porządku społecznym, gdyby ten objaw sceptycyzmu nie wymagał pewnego wysiłku. Wielkie wypukłe oczy pana Verloca nie były przystosowane do mrugania. Należały raczej do kategorii oczu, które zamykają się poważnie przy zasypianiu, wywierając majestatyczne wrażenie.

Powściągliwy w ruchach, opasły na kształt tłustego wieprza, pan Verloc szedł swoją drogą, nie zacierając rąk z zadowoleniem i nie mrugając sceptycznie do swych myśli. Stąpał ciężko po bruku w błyszczących trzewikach i wyglądał jak zamożny rzemieślnik posiadający własny warsztat. Można go było wziąć za pierwszego lepszego majstra, od ramiarza do ślusarza, za pracodawcę w skromnym zakresie. Ale był przy tym w panu Verlocu jakiś rys nieokreślony, którego żaden rzemieślnik nie nabyłby w ciągu swej pracy, choćby wykonywał ją najmniej sumiennie: rys wspólny tym, co żerują na występkach, głupocie

albo tchórzostwie, rys moralnego nihilizmu, właściwy ludziom prowadzącym szulernie lub domy publiczne, a cechujący również prywatnych detektywów i wywiadowców, szynkarzy, sprzedawców elektrycznych pasów przywracających siły i wynalazców patentowanych leków. Co do owych wynalazców nie mam pewności, bo tego tak dalece nie zgłębiałem. Zdaje mi się jednak, że wyraz twarzy tych ludzi może być po prostu szatański; wcale bym się temu nie dziwił. Chciałem tylko zaznaczyć, iż wyraz twarzy pana Verloca daleki był od demonizmu.

Nie dochodząc do Knightsbridge, pan Verloc skręcił w lewo z rojnej głównej ulicy, tętniącej hałasem rozkołysanych omnibusów¹⁶ i wozów toczących się szybko wśród prawie bezgłośnej, chyżej fali dwukołowych dorożek. Pod kapeluszem zsuniętym lekko z czoła wyszczotkowane włosy pana Verloca ułożyły się gładko i kornie, albowiem pan Verloc miał sprawę z pewną ambasadą. Nieugięty jak skała – z rodzaju tych większych skał – kroczył teraz ulicą, która zasługiwała w pełni na nazwę zacisznej. W jej szerokości, pustce i obszarze tkwił majestat martwej przyrody, która nie podlega śmierci. Jedynym napomknieniem o śmiertelności była karetka jakiegoś doktora, stojąca we wzniostym osamotnieniu tuż obok chodnika. Wyczyszczone kołatki u drzwi błyszczały jak okiem sięgnąć, czyste okna lśniły ciemnym połyskiem. Nic się nie poruszało.

¹⁶ *omnibus* (łac. dosł.: dla wszystkich) – duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, pod koniec XIX w. powszechny jako środek regularnej komunikacji w dużych miastach Europy; poprzednik autobusów. [przypis edytorski]

Lecz oto wózek z mlekiem zaturkotał hałaśliwie i przeciął w głębi ulicę; zza węgła wypadł drugi wózek, a na nim chłopiec od rzeźnika siedział wysoko nad parą czerwonych kół, powożąc ze wspaniałym rozmachem, niby uczestnik gier olimpijskich kierujący rydwanem. Spod kamieni wysunął się kot, który najwidoczniej coś zbroił; biegł chwilę, wyprzedzając pana Verloca, i dał nurka do sutereny; a gruby policjant, z pozoru niedostępny wszelkim uczuciom, jakby również był częścią martwej przyrody, wyłonił się, rzekłbyś, z latarni, nie zwracając na Verloca najmniejszej uwagi.

Pan Verloc skręcił na lewo i szedł wąską uliczką wzdłuż żółtej ściany, na której z niezbadanych powodów widniał czarnymi literami napis: Chesham Square nr 1. Tymczasem Chesham Square znajdował się przynajmniej sześćdziesiąt jardów¹⁷ dalej, pan Verloc zaś, który był w dostatecznym stopniu kosmopolitą, aby nie dać się zwieść topograficznym tajemnicom Londynu, szedł wciąż spokojnie naprzód, nie zdradzając oznak zdziwienia czy oburzenia. Wreszcie z wytrwałością cechującą człowieka interesu dotarł do skweru i przeciął go na ukos, zmierzając pod numer 107. Ten numer widniał na imponującej bramie wjazdowej, umieszczonej w wysokiej, gładkiej ścianie między dwoma domami; jeden z nich był oznaczony dość rozsądnie numerem 9, natomiast na drugim widniał numer 37; o fakcie, że ten ostatni dom należy do znanej w sąsiedztwie Porthill

¹⁷ *jard* – anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra.
[przypis edytorski]

Street, głosił napis nad parterowymi oknami, umieszczony przez jakąś bardzo sprężystą władzę, której polecono tropić zbłąkane domy londyńskie. Dlaczego nie żąda się od parlamentu, aby wydał rozkaz (wystarczyłby krótki akt) polecający tym gmachom powrót do miejsc, gdzie przynależą, jest jedną z tajemnic miejskiego zarządu. Pan Verloc nie łamał sobie nad tym głowy, ponieważ jego posłannictwo życiowe stanowiła ochrona społecznego ustroju, nie zaś doskonalenie tegoż ustroju czy chociażby jego krytyka.

Było tak wcześnie, że portier ambasady wybiegł ze swego mieszkania, mocując się jeszcze z lewym rękawem liberii. Miał na sobie czerwoną kamizelkę, krótkie spodnie i był najwidoczniej zmieszany. Pan Verloc dostrzegł to natarcie z flanki i odparł je, wyciągnawszy po prostu kopertę z godłem ambasady, po czym szedł dalej. Ten sam talizman pokazał lokajowi, który otworzył drzwi i cofnął się, aby go wpuścić do hallu.

Jasny ogień palił się na dużym kominku; zwrócony tyłem do ognia stał starszy mężczyzna we fraku, z łańcuchem na szyi i popatrzył na pana Verloca znad rozpostartej gazety, którą trzymał oburącz przed spokojną, surową twarzą. Nie poruszył się wcale. Drugi lokaj w brunatnych spodniach i fraku obrzeżonym cienkim żółtym sznurkiem zbliżył się do pana Verloca; usłyszawszy wyszeptane przez niego nazwisko, zawrócił na pięcie i zaczął iść, nie oglądając się wcale. Prowadził tak pana Verloca parterowym korytarzem na lewo od wielkich schodów

pokrytych dywanem i nagle wskazał mu wejście do małego pokoju, gdzie stało ciężkie biurko oraz kilka krzeseł. Drzwi się zamknęły i pan Verloc został sam. Nie usiadł. Rozglądał się, przeciągając pulchną, krótką ręką po gładko uczesanej głowie; w drugiej ręce trzymał kapelusz i laskę.

Jakieś drzwi otwały się bez szelestu; pan Verloc, skierowawszy wzrok w tamtą stronę, zobaczył zrazu tylko czarne ubranie, łysy czubek głowy i obwisłe ciemносиwe bokobrody po obu stronach pomarszczonych rąk. Człowiek, który wszedł, trzymał przed oczami plik papierów; przeglądając je, zbliżał się do stołu drobnymi krokami. Tajny radca Wurmt, *chancelier d'ambassade*¹⁸, miał wzrok dość krótki. Zasłużony ten urzędnik złożył papiery na stole, odsłaniając nalaną, bladą twarz o melancholijnej brzydocie, otoczoną gąszczem cienkich, długich ciemnościwych włosów; przekreślała tę twarz gruba linia gęstych i krzaczastych brwi. Wurmt włożył na tępy, bezkształtny nos binokle¹⁹ w czarnej oprawie i wydał się zaskoczony widokiem pana Verloca. Pod ogromnymi brwiami krótkowzroczne oczy radcy mrugały bezradnie zza szkieł.

Nie przywitał się wcale, podobnie jak i pan Verloc, który oczywiście wiedział, jak się zachować; lecz nieznaczną zmianą w zarysie barków i pleców pana Verloca nasunęła myśl, że jego

¹⁸ *chancelier d'ambassade* (fr.) – szef kancelarii ambasady, wyższy urzędnik zajmujący się paszportami i dokumentami dyplomatycznymi. [przypis edytorski]

¹⁹ *binokle* – rodzaj okularów bez uchwytów, mocowanych na nosie z pomocą sprężynki. [przypis edytorski]

grzbiet pochylił się z lekka pod obszerną powierzchnią palta. Robiło to wrażenie dyskretnego szacunku.

– Mam tu kilka pańskich raportów – rzekł biurokrata nadspodziewanie miękkim, jakby znużonym głosem, przyciskając mocno papiery końcem wskazującego palca. Umilkł, a pan Verloc, który poznał od razu własne pismo, czekał z zapartym tchem. – Nie jesteśmy zadowoleni z zachowania się tutejszej policji – ciągnął Wurmt z wszelkimi pozorami umysłowego wyczerpania.

Plecy pana Verloca właściwie nawet nie drgnęły, a jednak wydało się, że wzruszył ramionami. Usta jego otworzyły się po raz pierwszy od chwili, gdy wyszedł z domu.

– Każdy kraj ma swoją policję – rzekł filozoficznie. Lecz urzędnik ambasady patrzył na niego, w dalszym ciągu mrugając oczami, i pan Verloc dorzucił jakby pod przymusem: – Niech pan pozwoli mi zauważyć, że nie mam wpływu na tutejszą policję.

– Pożądane jest, aby zaszedł jakiś określony wypadek, który by pobudził jej czujność – rzekł biurokrata. – To wchodzi w zakres pana obowiązków... nieprawdaż?

Pan Verloc odpowiedział na to tylko westchnieniem, które wyrwało mu się niechcący, bo postarał się zaraz nadać twarzy wyraz wesoły. Urzędnik mrugał niepewnie, jakby mu dokuczało przyćmione światło pokoju. Powtórzył ogólnikowo:

– Wypadek, który by pobudził czujność policji... i surowość urzędników. Zasadnicza łagodność tutejszej procedury

sądowej oraz absolutny brak wszelkich środków represyjnych są zgorzeniem dla Europy. Czego nam teraz potrzeba, to wzmożonego niepokoju... wrzenia, które niewątpliwie istnieje.

– Oczywiście, oczywiście – wtrącił pan Verloc pełnym szacunku, niskim basem typu krasomówczego, różniącym się tak dalece od tonu, którym mówił dotychczas, że radca się zdumiał. – Istnieje, i to w stopniu niebezpiecznym. Moje raporty z ostatnich dwunastu miesięcy wyjaśniają to dostatecznie.

– Pana raporty z ostatnich dwunastu miesięcy – zaczął radca stanu Wurmt swym łagodnym, beznamietnym głosem – zostały przeze mnie przeczytane. Nie mogę zrozumieć, po co je pan w ogóle pisał.

Smutne milczenie zapadło na chwilę. Zdawało się, że pan Verloc zapomniał języka w gębie, radca zaś utkwiał wzrok w leżących na stole papierach. Wreszcie odsunął je z lekka.

– Ze stanu rzeczy, który pan tutaj przedstawia, wypływa jedynie to, że w ogóle pana zatrudniamy. A teraz chodzi nam nie o pisaninę, lecz o wykrycie znaczącego, wybitnego faktu, powiedziałbym nawet: faktu niepokojącego.

– Nie potrzebuję mówić, że ten cel będzie przyświecał wszystkim moim wysiłkom – rzekł pan Verloc, nadając ton przeświadczenia swemu ochryplemu głosowi od codziennego użytku. Ale zmieszał się, czując, że jest bacznie śledzony zza ślepego połysku okularów po drugiej stronie stołu. Umilkł nagle z gestem bezwzględnej oddania. Pożyteczny i zapracowany, lecz skromny członek ambasady przybrał nagle taki wyraz

twarży, jakby błysnęła mu jakaś nowa myśl.

– Pan jest bardzo otyły – rzekł.

Ta uwaga, treści właściwie psychologicznej, uraziła pana Verloca jak niegrzeczny przytyk, choć została wypowiedziana ze skromnością i wahaniem urzędnika lepiej obeznanego z piórem i atramentem niż z wymaganiami czynnego życia. Pan Verloc odstąpił o krok.

– Jak to? Co pan był łaskaw powiedzieć? – wykrzyknął urażonym, chrypliwym głosem.

Chancelier d'ambassade, któremu powierzono przeprowadzenie owej rozmowy, był widać zdania, że ta misja przekracza jego siły.

– Chyba będzie najlepiej, jeśli pan się zobaczy z panem Władimirem. Tak, powinien pan stanowczo rozmówić się z panem Władimirem. Niech pan tu poczeka – dodał i wyszedł drobnymi krokami.

Pan Verloc przesunął natychmiast ręką po włosach. Drobne krople potu wystąpiły mu na czoło. Wypuścił powietrze przez ściągnięte usta jak człowiek dmuchający na łyżkę gorącej zupy. A gdy lokaj w brązowej liberii ukazał się cicho we drzwiach, pan Verloc stał dosłownie na tym samym miejscu, gdzie się znajdował poprzednio. Stał bez ruchu, jakby czuł, że jest otoczony wilczymi dołami²⁰.

Poszedł za lokajem przejściem oświetlonym przez samotny

²⁰ *wilczy dół* – pułapka łowiecka lub daw. przeszkoda fortyfikacyjna w postaci zamaskowanej jamy lub rowu o stromych ścianach. [przypis edytorski]

plomień gazowy, potem kręconymi schodami i wreszcie oszklonym, wesołym korytarzem na pierwszym piętrze. Lokaj otworzył jakieś drzwi i usunął się na bok. Pan Verloc poczuł pod nogami gruby dywan. Pokój był obszerny, trzyokienny; młody człowiek o wygolonej, dużej twarzy, siedzący w obszernym fotelu przed wielkim mahoniowym biurkiem, rzekł po francusku do *chancelier d'ambassade*, który odchodził z papierami w rękę:

– Masz rację, *mon cher*²¹. Bestia tłusta, bo tłusta.

Pan Władimir, pierwszy sekretarz, cieszył się w salonach opinią człowieka przyjemnego i zajmującego. Był poniekąd ulubieńcem towarzystwa. Jego dowcip polegał na odkrywaniu zabawnych związków między niepasującymi do siebie pojęciami; rozprawiając w tym duchu, przysiadł na samym brzegu krzesła i podnosił lewą rękę, jakby wystawiał na pokaz swe ucieszne wywody, trzymając je między kciukiem a palcem wskazującym; wygolona, okrągła twarz sekretarza przybierała wtedy wyraz wesołego zdziwienia.

Lecz w oczach, zwróconych na pana Verloca, nie było śladu wesołości ani zdziwienia. Rozparł się w głębokim fotelu, rozstawiwszy szeroko łokcie, i zarzucił nogę na grube kolano; jego gładka, różowa twarz nadawała mu wygląd przedwcześnie rozwiniętego niemowlęcia, które nikomu gadać głupstw nie pozwoli.

– Pan chyba rozumie po francusku? – zapytał.

Pan Verloc potwierdził ochryplym głosem, że rozumie. Cała

²¹ *mon cher* (fr.) – mój drogi. [przypis edytorski]

jego tłusta postać pochylała się ku przodowi. Stał na dywanie w środku pokoju, trzymając w jednej ręce kapelusz i laskę; druga ręka wisiała bezwładnie u boku. Mruknął skromnie z głębi gardła, że odbył służbę wojskową w artylerii francuskiej. Naraz pan Władimir, wiedziony pogardliwą przekorą, przerzucił się na inny język i zaczął mówić nieskazitelną angielszczyzną bez śladu cudzoziemskiego akcentu.

– Hm! Tak. Naturalnie. No, zobaczymy. Ile panu wlepili za to, że pan wykradł rysunek udoskonalonego zamka tej ich nowej armaty polowej?

– Pięć lat obostrzonego więzienia w fortecy – odrzekł niespodzianie pan Verloc bez najlżejszego przejawu uczuć.

– Wyszedł pan obroną ręką – zauważył pan Władimir. – I dobrze tak panu za to, że się pan dał nakryć. A co pana skłoniło do tego rodzaju roboty?

W odpowiedzi rozległ się ochryply głos pana Verloca, ten od codziennego użytku, mówiący o młodości, o nieszczęsnym zadurzeniu się...

– Aha! *Cherchez la femme*²² – raczył przerwać pan Władimir, trochę przystępniejszy, lecz bynajmniej nie uprzejmy; wręcz przeciwnie, jego łaskawość miała w sobie coś okrutnego. – Jak dawno jest pan na służbie naszej ambasady?

– Już od czasów nieboszczyka barona Stott-Wartenheima – odrzekł pan Verloc stłumionym głosem, wysuwając wargi

²² *cherchez la femme* (fr.) – szukajcie kobiety! (wyrażenie oznaczające, że ukrytą przyczyną sprawy zazwyczaj jest kobieta). [przypis edytorski]

ze smutkiem na znak żalu za zmarłym dyplomatą. Pierwszy sekretarz obserwował spokojnie grę jego fizjonomii.

– Aha! już od czasu... No! Co pan powie na swoje usprawiedliwienie? – spytał ostro.

Pan Verloc odrzekł nieco zdziwiony, że nie sądzi, aby miał coś szczególnego do powiedzenia. Wezwano go listem... – I zagłębił szybko rękę w bocznej kieszeni palta, lecz wobec szyderczej, cynicznej czujności pana Władimira postanowił listu nie wyjmować.

– Ba! Jak pan mógł tak wyjść z fasonu? – rzekł pan Władimir. – Pan nie ma nawet powierzchowności, jakiej pana zawód wymaga. I pan ma być członkiem zagłodzonego proletariatu? Cóż znowu! Pan ma być zaciekłym socjalistą... czy też anarchistą... bo nie wiem?

– Anarchistą – stwierdził głucho pan Verloc.

– Bzdury! – ciągnął pan Władimir, nie podnosząc głosu. – Nawet stary Wurmt był zaskoczony pana wyglądem. Nie oszukałby pan idioty. Nawiasem mówiąc, oni wszyscy to banda idiotów, ale pański wygląd jest po prostu niemożliwy. A więc pana stosunki z nami zaczęły się od kradzieży tych rysunków francuskich armat. I dał się pan nakryć. To musiało być bardzo nieprzyjemne dla naszego rządu. Nie wygląda mi pan na sprytnego.

Pan Verloc starał się usprawiedliwić zachrypłym głosem:

– Jak miałem już sposobność zaznaczyć, zadurzyłem się najfatalniej w niegodnej...

Pan Władimir podniósł białą, pulchną rękę.

– Ach, tak. Tamto nieszczęsne uczucie... z czasów pana młodości. Wzięła pańskie pieniądze, a potem sprzedała pana policji... co?

Bolesna zmiana w wyrazie twarzy pana Verloca i nagłe obwiśnięcie całej jego postaci świadczyły, że ten godny pożałowania fakt zaszedł istotnie. Pan Władimir objął w kostce swą nogę założoną na kolano. Skarpetka była jedwabna, granatowa.

– W tym wypadku sprytu pan nie wykazał. Może pan jest zanadto wrażliwy na płęć piękną?

Pan Verloc dał do zrozumienia gardłowym, głuchym szeptem, że nie jest już młody.

– Hm! Ta wada z wiekiem nie ustępuje – zauważył pan Władimir ze złowrogą poufałością. – Ale nie! Za tłusty pan na to. Nigdy by pan tak nie wyglądał, gdyby pan był choć trochę wrażliwy na kobiety. Powiem panu, w czym rzecz: pan jest wałkoń. Jak dawno wyciąga pan od nas pieniądze?

– Od jedenastu lat – zabrzmiała odpowiedź po chwili posępnego wahania. – Powierzono mi w Londynie kilka zleceń, gdy jego ekscelencja baron Stott-Wartenheim był jeszcze ambasadorem w Paryżu. Potem na skutek wskazówek jego ekscelencji osiedliłem się w Londynie. Jestem Anglikiem.

– Pan jest Anglikiem! Co też pan mówi! Naprawdę?

– Urodziłem się poddanym brytyjskim – rzekł niezwruszenie pan Verloc. – Ale ojciec mój był Francuzem i stąd...

– Dość tych wyjaśnień – przerwał tamten. – Więc pan mógł według prawa zostać marszałkiem Francji lub posłem do angielskiego parlamentu... a wówczas byłby pan istotnie oddał naszej ambasadzie pewne usługi.

Ten wybryk fantazji przywołał coś na kształt słabego uśmiechu na twarz Verloca. Pan Władimir zachował niewzruszoną powagę.

– Ale, jak powiedziałem, wałkoń z pana; nie wyzyskuje pan nasuwających się sposobności. Za barona Stott-Wartenheima wielu półgłówków pracowało w tej ambasadzie. Z ich winy ludzie tacy jak pan wyrobili sobie fałszywe pojęcie o tym, czym jest fundusz tajnego wywiadu. Obowiązek każe mi tę pomyłkę sprostować: muszę panu wyjaśnić, czym tajny wywiad nie jest. Otóż nie jest instytucją filantropijną. Wezwałem pana umyślnie, aby to panu powiedzieć.

Pan Władimir zauważył wymuszone zdumienie na twarzy Verloca i uśmiechnął się szyderczo.

– Widzę, że pan mnie świetnie rozumie. Zdaje się, że pan jest wystarczająco inteligentny na swój fach. Czego nam teraz potrzeba, to czynów... czynów.

Powtarzając ostatnie słowo, pan Władimir położył biały palec wskazujący na brzegu biurka. Najlżejszy ślad chrypki znikł z głosu Verloca. Jego gruby kark nabiegł purpurą nad aksamitnym kołnierzem palta. Wargi mu zadrżały i otworzyły się szeroko.

– Jeśli pan tylko zechce przejrzeć moje sprawozdanie – zahuczał swym tubalnym, dźwięcznym basem od

krasomówczych występów – przekona się pan, że ostrzegałem ambasadę jeszcze przed trzema miesiącami, gdy wielki książę Romuald miał przyjechać do Paryża; telegrafowano stąd o mych ostrzeżeniach do policji francuskiej i...

– Ciszej! – wybuchnął pan Władimir, krzywiąc się i marszcząc. – Francuska policja nic sobie nie robiła z pana ostrzeżeń. Niech pan tak nie ryczy. O cóż panu chodzi do diabła?

Pan Verloc przeprosił tonem wyniosłej pokory za to, że tak się zapomniał. Oświadczył, iż jego głos, słynny od szeregu lat z mów na zebraniach pod wolnym niebem i na wiecach robotniczych w wielkich salach, przyczynił się niemało do ustalenia jego reputacji jako solidnego, zaufanego towarzysza. Głos wchodził więc w skład jego użyteczności. Budził zaufanie do jego zasad. „Przywódcy wysuwali mnie zawsze na mówcę w krytycznej chwili” – oświadczył Verloc z nieukrywaniem zadowoleniem. Dodał, że potrafi przekrzyczeć każdy hałas, i nagle to zademonstrował.

– Proszę, niech pan mi pozwoli – rzekł.

Ze spuszczoną głową, nie podnosząc oczu, przeszedł przez pokój szybkim, ciężkim krokiem, zmierzając ku drzwiom balkonowym, i uchylił je jakby pod wpływem nieodpartego impulsu. Pan Władimir porwał się zdumiony z głębi fotela i spojrzał przez ramię Verloca; w dole, za dziedzińcem ambasady, dobry jeszcze kawał za otwartą bramą, widać było szerokie plecy policjanta, który stał beczynn timer śledził wspaniałą wózek z jakimś dzieckiem, przejeżdżający pompatycznie przez skwer.

– Policja! – rzekł Verloc bez najmniejszego wysiłku, jak gdyby szeptał; pan Władimir zaś wybuchnął śmiechem, zobaczywszy, że policjant odwrócił się na pięcie niby żgnięty z tyłu. Verloc zamknął spokojnie okno i wrócił na środek pokoju.

– Dzięki temu głosowi – rzekł, zniżywszy ton do konwersacyjnego, chrypliwego brzmienia – wierzone mi z reguły. A przy tym wiedziałem, co mówić!

Pan Władimir, poprawiając krawat, śledził Verloca w lustrze nad kominkiem.

– Nie wątpię, że pan wyuczył się na pamięć socjalistyczno-rewolucyjnego żargonu – rzekł pogardliwie. – *Vox et...*²³ Pewno nie studiował pan nigdy łaciny, co?

– Nie – burknął pan Verloc. – Chyba tego się pan po mnie nie spodziewał. Jestem jednym z miliona. Któż zna łacinę? Zaledwie kilkuset durniów, którzy nie potrafią dbać o własną skórę.

Jeszcze przez jakieś pół minuty pan Władimir obserwował w lustrze mięsisty profil i wielką tuszę człowieka, który stał za nim. Jednocześnie zaś widział także własną twarz, okrągłą, wygoloną, różową w okolicy podbródka, o wąskich, wrażliwych ustach stworzonych do wypowiedzania subtelnych dowcipów, dzięki którym stał się ulubieńcem najwyższych sfer. Wreszcie zawrócił na pięcie i ruszył przez pokój z taką stanowczością, iż nawet końce jego niebanalnego staroświeckiego krawata zdawały

²³ *Vox et...* (łac.) – początek frazy *Vox et praeterea nihil*: głos i nic więcej (z *Powiedzeń spartańskich* Plutarcha, o słowiku, z którego po oskubaniu niemal nic nie zostało). [przypis edytorski]

się jeżyć od niewysłowionych gróźb. Ruchy miał tak szybkie i dzikie, że pan Verloc, który spojrzał na niego z ukosa, zadrżał w duchu.

– Oho! Pan sobie pozwala na bezczelność – zaczął pan Władimir zdumiewająco gardłowym tonem, nie tylko nie angielskim, ale wręcz nie europejskim, co przstraszyło nawet Verloca, doświadczonego bywalca międzynarodowych zaułków. – Pan się ośmiela... Więc przemówię panu do słuchu. Nic tu z pana głosu nie przyjdzie. Nie potrzeba nam pana głosu. Potrzeba nam faktów – przerażających faktów... do jasnej cholery – dodał z opanowaną dzikością, mówiąc Verlocowi prosto w twarz.

– Nie zastraszy mnie pan swym barbarzyńskim obejściem – bronił się ochrypłym głosem pan Verloc, patrząc w dywan. W odpowiedzi na to jego interlokutor, uśmiechając się kpiąco znad zjeżonego fontazia²⁴, przeszedł na język francuski.

– Pan się podaje za *agent provocateur*²⁵. Zajęciem odpowiednim dla *agent provocateur* jest prowokacja. O ile wiem z informacji, które mamy o panu, przez trzy ostatnie lata nie zrobił pan nic, żeby zarobić na swój chleb.

– Nic nie zrobiłem! – wykrzyknął Verloc, nie poruszając się wcale i nie podnosząc oczu, choć jego głos drgał szczerym uczuciem. – Kilka razy zapobiegałem temu, co mogło być się

²⁴ fontaż (z fr. *fontange*) – fantazyjna, luźna kokarda noszona pod szyją przez mężczyzn na przełomie XIX i XX w., rodzaj dawnego krawata. [przypis edytorski]

²⁵ *agent provocateur* (fr.) – agent-prowokator, przenikający do jakiejś organizacji w celu nakłaniania jej członków do złamania prawa, aby można było ich aresztować. [przypis edytorski]

stać.

– Jest w tym kraju przysłowie, które mówi, że lepiej zapobiec chorobie, niż ją leczyć – przerwał pan Władimir, rzucając się na fotel. – W gruncie rzeczy to absurd. Tutaj wiecznie czemuś zapobiegają. Ale to przysłowie jest charakterystyczne. W Anglii nie lubią energicznych środków. Niech no pan nie będzie zanadto angielski. A w tym konkretnym wypadku niech pan nie będzie głupi. Zło już tu przeniknęło. My nie chcemy zapobiegać – my chcemy leczyć.

Urwał, zwrócił się do biurka i przeglądając jakieś papiery, odezwał się już innym, rzeczowym tonem, nie patrząc na Verloca.

– Pan wie naturalnie o międzynarodowej konferencji odbywającej się w Mediolanie?

Pan Verloc oznajmił ochryplym głosem, że ma zwyczaj czytywać gazety. Na dalsze pytanie odpowiedź jego brzmiała, że oczywiście rozumie, co czyta. Pan Władimir, uśmiechając się z lekka do dokumentów, które przeglądał wciąż jeden za drugim, mruknął:

– O ile to nie jest po łacinie.

– Albo po chińsku – dodał niewzruszenie pan Verloc.

– Hm. Niektóre z wynurzeń pańskich przyjaciół to bzdury równie niezrozumiałe jak chińszczyzna. – Pan Władimir odrzucił pogardliwie szary arkusz zadrukowanego papieru. – Cóż to za świstki z literami P. P. w nagłówku, ze skrzyżowanymi młotkiem, piórem i pochodnią? Cóż to znaczy, P. P.?

Pan Verloc zbliżył się do imponującego biurka.

– Przyszłość Proletariatu. To jest stowarzyszenie – wyjaśnił, stanąwszy ciężko obok fotela – w zasadzie nie tylko anarchistyczne, otwarte dla wszelkich odcieni przekonań rewolucyjnych.

– Czy pan do niego należy?

– Jestem jednym z wiceprezesów – wysapał pan Verloc, a pierwszy sekretarz ambasady podniósł głowę i spojrzał na niego.

– Więc powinien pan się wstydzić – rzekł dobitnie. – Czy pańskie stowarzyszenie nie potrafi nic innego, tylko drukować te prorocze bzdury stępienymi czcionkami na brudnym papierze... co? Dlaczego pan nie weźmie się do roboty? Proszę posłuchać. Teraz ja mam w ręku te sprawy i mówię panu wyraźnie, że będzie pan musiał na chleb zarobić. Dawne dobre czasy z epoki Stott-Wartenheima minęły. Bez pracy nie zobaczy pan ani grosza.

Pan Verloc poczuł, że nogi pod nim dziwnie osłabły. Cofnął się i wytarł głowę nos.

Był naprawdę zaskoczony i niespokojny. Rdzawe słońce londyńskie, przedarłszy się przez londyńską mgłę, rozsiewało ciepłą jasność w gabinecie sekretarza; wśród ciszy usłyszał pan Verloc słabe brzęczenie muchy na szybie – pierwszej muchy w tym roku; zwiastowało to wiosnę bardziej niezawodnie od najliczniejszej rzeszy jaskółek. Bezowocne miotanie się drobnego, energicznego organizmu dotknęło w przykry sposób grubasa, który czuł się zagrożony w swej gnuśności.

Podczas tej pauzy pan Władimir sformułował w myśli

szereg negatywnych uwag dotyczących twarzy i figury pana Verloca. Ten człowiek był nadspodziewanie pospolity, opasły i beczelnie ograniczony. Wyglądał jota w jotę jak specjalista od robót kanalizacyjnych, który przyszedł z rachunkiem. Pierwszy sekretarz ambasady nabrał specjalnego wyobrażenia o tej kategorii pracowników, czytując od czasu do czasu amerykańskie humoreski; uważał ich za wcielenie nieuctwa i podstępnej gnuśności.

A więc to był ów znakomity, zaufany tajny agent, tak dalece tajny, że w oficjalnej, półoficjalnej i poufnej korespondencji nieboszczyka barona Stott-Wartenheima określano go zawsze tylko symbolem Δ; słynny agent Δ, którego ostrzeżenia zmieniały plany i daty królewskich, cesarskich, wielkoksiążęcych podróży, a czasem były przyczyną ich zaniechania! To indywiduum! Tu pan Władimir pozwolił sobie w duchu na gwałtowny wybuch szyderczej wesołości, wywołanej po części własnym zdumieniem, które uznał za naiwne; głównie jednak rozśmieszyła go myśl o żalowanym powszechnie baronie Stott-Wartenheimie. Świętej pamięci ekscelencja, którego najwyższa łaska cesarskiego władcy narzuciła jako ambasadora kilku niechętnym ministrom spraw zagranicznych, cieszył się za życia opinią łatwowiernego pesymisty. Miał manię na punkcie rewolucji społecznej. Wyobrażał sobie, że jest dyplomata, który ze specjalnego wyroku przeznaczenia stanie się świadkiem kresu dyplomacji i poniekąd kresu świata w straszliwym przewrocie demokratycznym. Jego prorocze i żalosne raporty były w ciągu

lat przedmiotem dowcipów po różnych ministerstwach spraw zagranicznych. Mówiono, że na łożu śmierci zawołał (podczas wizyty swego cesarskiego władcy i przyjaciela): „Nieszczęsna Europo! Zepsucie twych dzieci doprowadzi cię do zguby!”. Ten Stott-Wartenheim był ofiarą pierwszego lepszego łajdackiego blagiera, jaki mu się nawinął – myślał Władimir, uśmiechając się niewyraźnie do Verloca.

– Powinien pan czcić pamięć barona Stott-Wartenheima – wykrzyknął nagle.

Spuszczona twarz Verloca wyrażała posępną udrękę i znużenie.

– Pozwoli mi pan zauważyć – rzekł – że przyszedłem tu wezwany listownym rozkazem. Dotychczas w ciągu jedenastu lat byłem tu tylko dwa razy i oczywiście nigdy o jedenastej rano. Nie jest rzeczą rozsądną wzywać mnie o tej porze. A gdyby mnie przypadkiem spostrzegli? Miałbym się z pyszna.

Pan Władimir wzruszył ramionami.

– Przestałbym być użyteczny – gorączkował się Verloc.

– To jest pańska sprawa – mruknął pan Władimir z łagodną brutalnością. – Gdy pan przestanie być użyteczny, przestaniemy się panem posługiwać. Tak. Natychmiast. Szlus. Zostanie pan... – Pierwszy sekretarz zmarszczył brwi i urwał, szukając należyście dosadnego określenia; rozjaśnił się natychmiast, błysnąwszy wspaniałą bielą zębów w kpiącym uśmiechu. – Zostanie pan wylany – wygarnął z okrucieństwem.

Raz jeszcze musiał Verloc użyć całej siły woli, aby zwalczyć

uczucie omdłałości jakby spływającej po nogach, uczucie, które natchnęło ongi jakiegoś nieboraka do trafnego określenia: „dusza uciekła mi w pięty”. Pan Verloc, świadom tego uczucia, podniósł odważnie głowę.

Pan Władimir zniósł jego tępy, badawczy wzrok z najzupełniejszą pogodą.

– Czego nam teraz potrzeba, to jakiegoś krzepiącego zastrzyku dla konferencji mediolańskiej – rzekł lekko. – Debaty nad międzynarodową akcją w celu stłumienia zbrodni politycznych nie doprowadzą do niczego. Anglia ociąga się. Ten kraj ma bzika na punkcie sentymentalnego szacunku dla swobody indywidualnej. Wszystko się w człowieku gotuje na myśl, że pierwszemu lepszemu z pana przyjaciół wystarcza po prostu przebyć Kanał Angielski²⁶, aby...

– Dzięki temu mam ich wszystkich na oku – przerwał Verloc chrypliwie.

– Byłoby znacznie rozsądniej mieć ich wszystkich pod kluczem. Anglia musi zrównać się pod tym względem z innymi krajami. Głupia *bourgeoisie*²⁷ tego kraju stała się współniczką właśnie tych ludzi, którzy dążą do wyrzucenia jej z własnych domów, aby wyzdychała po rowach. A przecież burżuazja trzyma jeszcze w rękę siłę polityczną; gdybyż miała dość rozsądku, aby użyć jej dla swej obrony. Pan zgodzi się chyba z tym, że klasy

²⁶ Kanał Angielski (ang. *English Channel*) – ang. nazwa kanału La Manche, oddzielającego Wielką Brytanię od Francji. [przypis edytorski]

²⁷ *bourgeoisie* (fr.) – burżuazja. [przypis edytorski]

średnie są głupie?

Pan Verloc przytwierdził ochryplym głosem:

– O tak.

– Ci ludzie pozbawieni są wyobraźni. Zaślepia ich idiotyczna próżność. Trzeba koniecznie napędzić im teraz porządnego stracha. Oto chwila stosowna do puszczenia w ruch pańskich przyjaciół. Wezwałem tu pana, bo chcę przedstawić panu swój plan.

I pan Władimir wyniosłym tonem zaczął rozwijać swój projekt z pogardliwą łaskawością, zdradzając tak wielką nieznajomość istotnych celów, pojęć i metod świata rewolucyjnego, że Verloc zdumiał się w duchu. Pierwszy sekretarz nie odróżniał skutków od przyczyn w sposób niedopuszczalny; mieszał najwybitniejszych propagatorów idei z impulsywnymi zamachowcami; sądził, że organizacja istnieje tam, gdzie z natury rzeczy istnieć nie mogła; mówił o socjalistycznej partii rewolucyjnej to jak o znakomicie zorganizowanej armii, posłusznej na skinienie wodzów, to znów jak o luźnej grupie zbójceckich straceńców obozujących w górskim wąwozie. Pan Verloc otworzył raz usta, aby zaprzeczyć, ale wstrzymało go podniesienie dużej, kształtnej, białej ręki. Wkrótce ogarnął go taki strach, że nie usiłował nawet protestować. Słuchał zastygły w lęku, co wyglądało na bezruch wyętej uwagi.

– Chodzi o szereg gwałtów – ciągnął spokojnie pan Władimir – nie tylko **obmyślonych**, ale i wykonanych tu, w Anglii;

w innym wypadku nie przydadzą się na nic, nie sprawią wrażenia. Pana przyjaciele mogliby podpalić pół kontynentu, a nie zjednaliby wcale tutejszej opinii publicznej do wprowadzenia powszechnych praw represyjnych. Anglicy nie widzą dalej niż koniec swego nosa.

Pan Verloc odchrząknął, ale odwaga zawiodła go i nic nie powiedział.

– Takie zamachy nie potrzebują być szczególnie krwawe – ciągnął pan Władimir, jakby wygłaszając naukowy odczyt – ale muszą wzbudzić dostateczny lęk... muszą wyrzucić swój skutek. Ich ofiarą mogłyby paść na przykład budynki. Co jest obecnie największym fetyszem całej *bourgeoisie*, panie Verloc, no?

Pan Verloc rozłożył ręce i wzruszył lekko ramionami.

– Pan jest za leniwy, aby myśleć – wyjaśnił ten gest pan Władimir. – Niech pan uważa na to, co mówię. Fetyszem dnia dzisiejszego nie jest ani królewski majestat, ani religia. Trzeba więc zostawić w spokoju pałace i kościoły. Rozumie pan, o co mi chodzi, panie Verloc?

Pan Verloc dał ujście swemu przerażeniu i wzgardzie, mając się żartobliwego tonu:

– Świetnie. A co by pan powiedział o ambasadach? Szereg zamachów na różne ambasady – zaczął, ale nie mógł wytrzymać chłodnego, czujnego wzroku pana Władimira.

– Widzę, że pan umie być dowcipny – zauważył niedbale pierwszy sekretarz. – Doskonale. Może to ożywi pańskie krasomówstwo na kongresach socjalistycznych. Ale ten pokój

nie jest terenem do tego odpowiednim. Będzie dla pana daleko bezpieczniej, jeśli pan przysłucha się uważnie temu, co mówię. Ponieważ wezwano pana dla dostarczenia faktów, a nie plecenia bajek o żelaznym wilku, powinien pan wyciągnąć korzyść z tego, co zadają sobie trud panu wyjaśnić. Najświętszym fetyszem współczesnym jest nauka. Dlaczego pan nie skrzyknie swoich przyjaciół, aby rzucili się na tego bałwana, co? Przecież i on należy do instytucji, które trzeba sprzątnąć, nim nastanie era Przyszłości Proletariatu.

Pan Verloc nic nie odpowiedział. Bał się otworzyć usta, aby nie jęknąć.

– Musi pan do tego się zabrać. Zamach na koronowaną głowę albo na prezydenta jest w pewnej mierze sensacją, ale nie w takim stopniu, co dawniej. Zamachy stały się częścią ogólnego pojęcia o życiu wszystkich przywódców państw. To jest już prawie banalne... zwłaszcza odkąd zamordowano tylu prezydentów. A teraz rozpatrzmy zamach na, powiedzmy, kościół. Naturalnie, że w pierwszej chwili wygląda to dość groźnie, ale nie wywrze tak wielkiego skutku, jak by przeciętnemu człowiekowi mogło się zdawać. Choćby taki zamach był w założeniu na wskroś rewolucyjny i anarchistyczny, znajdą się zawsze durnie, którzy mu przypiszą cechy manifestacji antyreligijnej. A to by odejęło zamachowi specyficznie niepokojące znaczenie, jakie chcemy mu nadać. Zamach na restaurację lub teatr mógłby z tych samych przyczyn uchodzić za objaw namiętności niemającej nic wspólnego z

polityką: za rozwścieczenie głodnego człowieka, za akt zemsty społecznej. Zużyło się to wszystko i nie jest już pouczające jako pogładowa lekcja rewolucyjnego anarchizmu. Każda gazeta ma pod ręką gotowe frazesy służące do usprawiedliwiania takich objawów. Wykładałam panu ze swego punktu widzenia filozofię rzucania bomb; z punktu widzenia, któremu pan podobno służył w ciągu ostatnich jedenastu lat. Staram się mówić w sposób dla pana przystępny. Wrażliwość klasy, którą atakujecie, stępieja się szybko. Własność wydaje się tym ludziom rzeczą niezniszczalną. Nie można liczyć na stałość ich uczuć, czy to będzie litość, czy trwoga. Jeśli zamach za pomocą bomby ma wywrzeć wpływ na opinię publiczną, musi być czymś efektowniejszym niż akt zemsty lub terroryzmu. Musi dążyć tylko do zniszczenia. Zniszczenie i nic innego, każdy inny cel musi być wykluczony. Wy, anarchiści, powinniście dowieść czarno na białym, że jesteście bezwzględnie zdecydowani zmieść z oblicza ziemi cały ustrój społeczny. Ale jak wbić ten przerażający absurd w głowy klasy średniej, tak aby go jasno pojęła? Oto jest pytanie! Odpowiedź brzmi: trzeba skierować zamach niszczycielski przeciw czemuś, co jest poza obrębem zwykłych ludzkich namiętności. Naturalnie mamy jeszcze sztukę. Bomba w National Gallery²⁸ wywołałaby pewien hałas. Ale to by nie wyglądało dość poważnie. Przypominałoby

²⁸ *National Gallery* (ang.: Galeria Narodowa) w Londynie – muzeum sztuki zał. przez parlament bryt. w 1824 r., zawierające jedną z największych na świecie kolekcji malarstwa. [przypis edytorski]

rozbić w czyimś domu okien od podwórza; a tymczasem jeśli się chce człowiekiem wstrząsnąć, trzeba przynajmniej zerwać dach. Sztuka nie była nigdy fetyszem burżuazji. Taki zamach na sztukę wywołałby z początku trochę krzyku, ale z czyjej strony? Ze strony artystów... krytyków sztuki i tym podobnych... ludzi bez znaczenia. Nikt nie zwraca uwagi na to, co mówią. Lecz istnieje jeszcze wiedza... nauka. Wierzy w nią każdy dureń posiadający dochody. Jest przekonany, że nauka coś znaczy, choć nie wie dlaczego. To najświętszy z fetyszów. Wszyscy, psiakrew, profesorowie są w głębi duszy radykałami. Trzeba pokazać, że tej ich dostojnej kukle grozi także zagłada, że kukła będzie musiała ustąpić wobec Przyszłości Proletariatu. Wycie wszystkich intelektualnych idiotów powinno się przysłużyć pracom konferencji mediolańskiej. Będą rozpisywali się o tym w gazetach. Ich oburzenia nikt nie będzie podejrzewać, ponieważ żadne interesy materialne jawnie tu w grę nie wejdą; zaniepokoi to do głębi egoizm klasy, na której trzeba wyrzucić wrażenie. Ci ludzie wierzą, że w jakiś tajemniczy sposób nauka jest źródłem ich dobrobytu. Wierzą w to. A okrutny absurd takiego zamachu dotknie ich głębiej niż wysadzenie w powietrze całej ulicy lub teatru zatłoczonego bliźniami. O tego rodzaju fakcie mogą zawsze powiedzieć: „Ach, to tylko nienawiść klasowa”. Ale co powiedzieć na czyn niszczyielskiej dzikości tak bezsensownej, że aż niezrozumiałej, niewytłumaczalnej, prawie nie do pomyślenia – po prostu obłąkanej? Tylko obłąd jest naprawdę przerażający, ponieważ

nie można nań zaradzić czy to groźbami, czy perswazją, czy przekupstwem. Zresztą jestem człowiekiem cywilizowanym. Ani mi w głowie nakazywać, aby pan zorganizował zwykłe jatki, nawet gdybym oczekiwał, że dadzą najlepsze wyniki. Bo po jatkach nie spodziewałbym się wyników, o jakie mi chodzi. Morderstwo jest na porządku dziennym. To niemal instytucja. Dlatego też zamach musi być skierowany przeciwko wiedzy – przeciwko nauce. Ale nie każda nauka do tego się nadaje. Taki atak powinien razić jaskrawym bezsenssem, jak nieuzasadnione bluźnierstwo. Ponieważ bomby są waszym sposobem wypowiedania się, efekt byłby najskuteczniejszy, gdyby się dało rzucić bombę na czystą matematykę. Ale to niemożliwe. Usiłowałem pana oświecić; przedstawiłem pańską użyteczność z punktu widzenia wyższej filozofii i wysunąłem nieco przydatnych argumentów. Praktyczne zastosowanie mego wykładu obchodzi przede wszystkim pana. Lecz z chwilą, gdy postanowiłem z panem się rozmówić, poświęciłem również trochę uwagi praktycznej stronie tej kwestii. Co by pan pomyślał o zamachu na astronomię?

Już od pewnego czasu bezruch pana Verloca, stojącego przy fotelu, przypominał stan bezwładnej zapaści – coś jakby bierną nieczułość przerywaną lekkimi konwulsyjnymi drgawkami, które można czasem zauważyć u psa leżącego przed kominkiem i dręczonego senną zморą. Brzmiało to jak niespokojne psie warknięcie, gdy pan Verloc powtórzył za sekretarzem:

– Na astronomię.

Nie zdołał się jeszcze otrząsnąć z oszołomienia, w które popadł, usiłując nadażyć myślą za słowami padającymi szybko, dobitnie z ust pana Władimira. Przekraczało to chłonność jego mózgu. Ogarnął go gniew. Ten gniew podszyty był nieufnością. Nagle zaświtało mu w głowie, że wszystko to jest skomplikowanym żartem. Pan Władimir pokazał w uśmiechu białe zęby i na jego okrągłej, pulchnej twarzy, przechylonej z wyrazem zadowolenia nad zjeżonym krawatem, pojawiły się dołki. Faworyt inteligentnych pań z towarzystwa upozował się w taki sposób, jakby mówił w salonie wykwintne dowcipy. Pochylił się naprzód w fotelu i podniósł białą rękę, rzekłbyś, delikatnie trzymając swe subtelne uwagi między kciukiem a palcem wskazującym.

– Nic lepszego nie wymyślimy. Taki zamach łączy w sobie możliwie największy szacunek dla ludzkiego życia z najgroźniejszą głupotą i dzikością. Niechże sprytni dziennikarze dowiodą swym czytelnikom, że znalazł się wśród proletariatu człowiek mający osobisty żal do astronomii. Tu już argument głodu nie da się zastosować, nieprawdaż? A przy tym mój pomysł ma jeszcze inne dobre strony. Cały świat cywilizowany wie, co to jest Greenwich. Nawet czyściciele butów w podziemiach stacji Charing Cross²⁹ coś o tym wiedzą. Rozumie pan?

Twarz pana Władimira, znana z pełnej humoru uprzejmości w kołach najlepszego towarzystwa, promieniała cynicznym

²⁹ *Charing Cross* – dworzec kolejowy w centrum Londynu, zbudowany w 1864 r. [przypis edytorski]

zadowoleniem z własnej osoby; zadziwiłoby to inteligentne kobiety przepadające za wytwornym dowcipem sekretarza.

– Tak – ciągnął dalej z pogardliwym uśmiechem – wysadzenie w powietrze pierwszego południka powinno wywołać ryk nienawiści.

– Trudna sprawa – mruknął pan Verloc, czując, że to jedyna rzecz, którą może bezpiecznie powiedzieć.

– Cóż w tym trudnego? Przecież pan ma całą tę bandę pod ręką i to samą ich śmietankę. Jest tu ten stary terrorysta Yundt. Widuję go prawie co dzień, jak chodzi po Piccadilly w zielonym płaszczu. A Michaelis, apostoł na urlopie... nie będzie pan chyba twierdził, że pan nie wie, gdzie on się znajduje! Bo gdyby pan nie wiedział, to ja mógłbym pana poinformować – ciągnął groźnie pan Władimir. – Jeśli pan sobie wyobraża, że tylko pan pobiera pensję z tajnych funduszków, to się pan myli.

Ta niczym nie uzasadniona uwaga sprawiła, że pan Verloc przestąpił z nogi na nogę.

– No a tamta ich paczka z Lozanny³⁰? Czyż się wszyscy tutaj nie zbiegli na pierwszą wiadomość o konferencji w Mediolanie? Anglia nie ma za grosz rozumu.

– To będzie dużo kosztowało – rzekł pan Verloc, tknięty jakimś instynktem.

³⁰ *paczka z Lozanny* – Lozanna była kojarzona z działalnością anarchistów na wygnaniu; m.in. schroniła się tam grupa francuskich anarchistów po nieudanej próbie wzniesienia rewolucji w Lyonie (1870); w 1876 na kongresie w Lozannie anarchiści ostatecznie odseparowali się od innych ugrupowań, socjaldemokratycznych, socjalistycznych i komunistycznych. [przypis edytorski]

– Na to mnie pan nie nabierze – odparował pan Władimir z zadziwiająco dobrym angielskim akcentem. – Otrzyma pan swoją comiesięczną pensję i nic więcej, póki się coś nie stanie. A jeśli się coś nie stanie, i to bardzo prędko, nawet pensji pan nie zobaczy. Jakie jest pana oficjalne zajęcie? Z czego się pan niby to utrzymuje?

– Prowadzę sklep – odrzekł pan Verloc.

– Sklep! Jaki sklep?

– Towary piśmienne, gazety. Moja żona...

– Pańska co? – przerwał pan Władimir swym gardłowym środkowoazjatyckim tonem.

– Moja żona. – Pan Verloc trochę podniósł ochryply głos. – Jestem żonaty.

– Co za bujda – wykrzyknął sekretarz z niekłamanym zdumieniem. – Żonaty! I to ma być wyznawca anarchizmu! Co znaczą te bzdury? Ale to chyba tylko się tak nazywa. Anarchiści się nie żenią. Każdy o tym wie. Nie wolno im. To by było odszczepieństwo.

– Moja żona nie jest anarchistką – mruknął opryskliwie pan Verloc. – A przy tym nic to pana nie obchodzi.

– Owszem, obchodzi – rąbnął pan Władimir. – Zaczynam się przekonywać, że pan wcale nie jest odpowiedni do pracy, którą panu powierzono. Przecież pańskie małżeństwo musiało pana w waszym świecie zupełnie zdyskredytować. Nie mógł pan bez tego się obejść? Więc to takie cnotliwe przywiązanie... co? Tu małżeństwo, tam miłość i jakież może być z pana pożytek!

Pan Verloc wydał policzki, wypuścił gwałtownie powietrze i na tym koniec. Uzbroił się w cierpliwość. Nie mogło to już trwać bardzo długo. Pierwszy sekretarz stał się nagle bardzo zwięzły, obojętny, stanowczy.

– A teraz może pan odejść – powiedział. – Musi pan sprowokować zamach dynamitowy. Daję panu na to miesiąc. Posiedzenia konferencji zawieszono. Zanim się znów rozpoczną, musi się tutaj coś stać, albo stosunki nasze się skończą.

Uderzył w inny ton z podstępłą zmiennością.

– Proszę rozważyć moją filozofię, panie... panie Verloc – rzekł tonem jakby łaskawego szyderstwa, wskazując drzwi. – Niech pan zaatakuje pierwszy południk. Pan nie zna burżuazji tak dobrze jak ja. Jej wrażliwość jest przytępiona. Pierwszy południk. Sądzę, że to najlepsze i przy tym najłatwiejsze.

Wstał z fotela; jego cienkie, wrażliwe wargi drgały kapryśnie, gdy śledził w lustrze nad kominkiem pana Verloca wycofującego się z pokoju ciężkim krokiem, z kapeluszem i laską w rękę. Drzwi się zamknęły.

Służący w liberii ukazał się nagle na korytarzu; poprowadził pana Verloca inną drogą i wypuścił go przez małe drzwi w rogu dziedzińca. Portier stojący w bramie zignorował zupełnie jego wyjście i pan Verloc szedł z powrotem drogą swej rannej pielgrzymki jak we śnie – jak w złym śnie. Oderwanie pana Verloca od materialnego świata było tak zupełne, że choć jego śmiertelna powłoka nie zdążyła zbyt śpiesznie przez ulice, druga część jego istoty, ta, której tylko niesprawiedliwy brutal

mógłby odmówić nieśmiertelności, znalazła się u drzwi sklepu natychmiast, jakby uniesiona z zachodu na wschód na skrzydłach potężnego wiatru.

Poszedł prosto za ladę i siadł na drewnianym krześle. Nikt się nie ukazał i nie zamącił jego samotności. Stevie, opięty w zielony bajowy³¹ fartuch, pilny i sumienny, zamiatał właśnie i odkurzał górne schody, jakby się bawiąc; pani Verloc zaś, ostrzeżona w kuchni przez grzechot pękniętego dzwonka, podeszła tylko do oszklonych drzwi i odsunawszy firankę, zajrzała do ciemnego sklepu. Widząc, że jej mąż tam siedzi, barczysty, posepny, z kapeluszem zsuniętym na tył głowy, wróciła natychmiast do gotowania. Mniej więcej po upływie godziny zdjęła bratu zielony bajowy fartuch i poleciła mu umyć ręce i twarz rozkazującym tonem, którego używała zawsze w tych okolicznościach od jakichś piętnastu lat – to jest odkąd przestała sama go myć. Po chwili, nakładając jedzenie na półmisek, rzuciła okiem na tę twarz i ręce; Stevie pokazywał je właśnie, podszedłszy do siostry z miną pewną siebie, pod którą krył się nękający go stale niepokój. Dawniej grozono mu gniewem ojca, w razie gdyby zaniedbał się umyć, lecz obecnie niewzruszony spokój pana Verloca w życiu domowym uniemożliwiał wszelką wzmiankę o gniewie, gdyż nawet biedny Stevie nie mógłby w to uwierzyć. Twierdziło się zatem, że pan Verloc byłby niewypowiedzianie zmartwiony i zgorszony, gdyby zauważył w czasie posiłku jakiekolwiek wykroczenie przeciw czystości. Po śmierci ojca

³¹ *bajowy* – wykonany z bai, miękkiej tkaniny bawełnianej. [przypis edytorski]

znaczną pociechą była dla Winnie myśl, że już nie potrzebuje drzeć o biednego Steviego. Nie mogła znieść, kiedy wyrządzano mu krzywdę. Doprowadzało ją to do szału. Jeszcze jako mała dziewczynka często z pałającymi oczami broniła braciszka przed porywczym kupcem. Ale teraz nic w jej wyglądzie nie świadczyło, aby była zdolna do gwałtownych wystąpień.

Skończyła przygotowywać półmiski. Stół w saloniku był już nakryty. Podeszedłszy do schodów, zawołała na matkę. Po tym otworzyła szklane drzwi prowadzące do sklepu i rzekła spokojnie: „Adolfie!”. Pan Verloc siedział ciągle w tej samej pozie; widać przez półtorej godziny nie ruszył ani ręką, ani nogą. Podniósł się ciężko bez słowa i przyszedł na obiad w palcie i kapeluszu. Jego milczenie nie było samo w sobie niezwykle ani niepokojące w tym mieszkaniu za mrocznym sklepem o szmatławych, podejrzanych towarach, w cieniu niechlujnej uliczki, rzadko nawiedzanej przez słońce. Lecz owego dnia milczenie pana Verloca było najwidoczniej tak brzemienne myślami, że wywarło wrażenie na obu kobietach. Siedziały, nie odzywając się ani słowem, i śledziły baczным okiem biednego Steviego, w obawie, aby nie dostał napadu gadulstwa. Stevie siedział naprzeciw pana Verloca, bardzo grzeczny, spokojny i patrzył bezmyślnie przed siebie. Niemałym wysiłkiem w życiu obu kobiet było ciągle troszczenie się o to, żeby powstrzymać Steviego od przeszkadzania panu domu w taki czy inny sposób. „Chłopiec”, jak go nazywały czule między sobą, był dla nich źródłem tego rodzaju niepokojów prawie od dnia swych urodzin.

Posiadanie tak dziwnego potomka napawało jego ojca upokorzeniem, które ujawniało się skłonnością do brutalnego traktowania Stewego; albowiem właściciel sklepu spożywczego odznaczał się delikatnością uczuć, a jego ból jako człowieka i jako ojca był najzupełniej szczery.

Z czasem trzeba było pilnować, aby Stevie nie naprzykrzał się wynajmującym pokoje lokatorom, którzy są dziwną kategorią ludzi i odznaczają się drażliwością. A przy tym niepokój o przyszłość, jaka czekała biednego chłopca, dręczył stale obie kobiety. Wizje przytułku dla niedorozwiniętych prześladowały matkę Stewego, gdy się krzątała po pokoju śniadaniowym w suterenie obscurnego domu w dzielnicy Belgravia.

– Moja droga, gdybyś nie znalazła takiego dobrego męża – mawiała często do córki – nie wiem, co by się stało z tym biednym chłopcem.

Pan Verloc poświęcał Steviemu tyleż uwagi, co człowiek obojętny dla zwierząt ulubionemu kotowi swej żony; była to w gruncie rzeczy uwaga tego samego rodzaju, życzliwa i obojętna. Obie kobiety przyznawały w cichości ducha, że właściwie niczego więcej nie można się było spodziewać. Wystarczyło to, aby Verloc zdobył sobie szacunek i wdzięczność teściowej. Z początku staruszka, która nie spotkała się nigdy z przyjaźnią i którą ciężkie życie usposobiło sceptycznie, pytała czasem z niepokojem:

– Jak myślisz, kochanie, czy to twego męża nie drażni, że wciąż ma Stewego przed oczami?

Na to Winnie odpowiadała zwykle przeczącym ruchem głowy. Raz jednak odparła posępnie i wyzywająco:

– Musiałby się najpierw mną znudzić.

Zapadło długie milczenie. Matka, siedząc z nogami opartymi o stołeczek, zdawała się zgłębiać tę odpowiedź, oszołomiona jej kobiecą przenikliwością. Staruszka nigdy nie mogła właściwie pojąć, dlaczego Winnie wyszła za pana Verloca. Był to postępek bardzo rozsądny i oczywiście stało się jak najlepiej, ale dziewczyna mogła mieć przecież nadzieję, że znajdzie kogoś w wieku bardziej odpowiednim. Swego czasu Winnie lubiła się przechadzać z pewnym spokojnym młodym człowiekiem, jedynym synem rzeźnika z sąsiedniej ulicy, pomagającym ojcu w sklepie. Prawda, że był zależny od ojca, ale interesy szły dobrze i miał świetne widoki. Kilka razy zabrał Winnie do teatru. Potem, właśnie gdy matkę zdjęła obawa, że się zaręczą (bo cóż by była zrobiła sama z tym dużym gospodarstwem i Steviem na głowie), flirt nagle się skończył i Winnie przez jakiś czas wyglądała bardzo posępnie. Ale zjawił się na szczęście pan Verloc, zajął frontowy pokój na pierwszym piętrze i nie wspominało się już więcej o młodym rzeźniku. To było doprawdy zrządzanie Opatrzności.

III

– ...Idealizowanie życia czyni je uboższym. Upiększać je, to znaczy pozbawiać je różnorodności – to znaczy je niszczyć. Zostaw to moralistom, mój drogi. Historię tworzą ludzie, ale nie tworzą jej mózgiem. Idee, które się rodzą w ludzkiej świadomości, grają rolę nieznaczną w rozwoju wypadków. Narzędzia i produkcja – potężne czynniki ekonomiczne – panują nad historią i o niej rozstrzygają. Kapitalizm stworzył socjalizm, a prawa, ustanowione przez kapitalizm dla ochrony własności, są odpowiedzialne za anarchizm. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jaką formę przybierze w przyszłości organizacja społeczna. Po cóż więc oddawać się proroczym fantazjom? W najlepszym razie odzwierciedlają one tylko duszę proroka i nie mogą mieć żadnej wartości obiektywnej. Zostaw tę rozrywkę moralistom, mój drogi.

Michaelis, apostoł uwolniony chwilowo z za krat, mówił równym, chrapliwym głosem, rzekłbyś, stłumionym przez pokład tłuszczu na piersiach. Opuścił nader higieniczne więzienie okrągły jak beczka, z ogromnym brzuchem, z wydętymi policzkami o cerze bladej, na wpół przejrzystej; wyglądał, jakby w ciągu piętnastu lat słudzy skrzywdzonego społeczeństwa nie mieli nic innego na względzie prócz opychania go tuczącymi pokarmami w wilgotnej, ciemnej celi. Nie zdołał odtąd już nigdy stracić na wadze choćby jednego grama.

Opowiadano, że przez trzy sezony z rzędu pewna stara, bardzo bogata pani wysyłała go na kurację do Marienbadu³², gdzie raz ledwie się nie stał przedmiotem publicznej ciekawości razem z pewną koronowaną głową – lecz policja zażądała, aby opuścił Marienbad w przeciągu dwunastu godzin. Zakazano mu dostępu do leczniczych wód i wskutek tego musiał dźwigać w dalszym ciągu swoje męczeństwo. Ale teraz był już zrezygnowany.

Siedział z zarzuconym na poręcz krzesła łokciem, przypominającym raczej zgięte ramię jakiegoś manekina niż ramię człowieka; pochyliwszy się trochę ku swym krótkim, olbrzymim udom, splunął w ogień.

– Tak! Miałem czas zastanawiać się nad życiem – dodał spokojnie. – Społeczeństwo dało mi dość czasu do rozmyślań.

Z drugiej strony kominka, w fotelu pokrytym włosiem, uprzywilejowanym miejscu matki pani Verloc, Karl Yundt chichotał złośliwie, wykrzywiając usta w bezzębny, ponury grymasie. Ów terrorysta, jak sam siebie nazywał, był stary, łysy i miał rzadką, obwisłą, śnieżnobiałą kocią bródkę. Niezwykły wyraz przebiegłej złośliwości tlił się w jego wygasłych oczach. Yundt z trudem dźwignął się z miejsca; jego koścista ręka, zniekształcona przez artretyczne obrzęki, wyciągnęła się niepewnym ruchem jak ręka konającego mordercy, który zbiera resztki sił dla zadania ostatniego ciosu. Oparł się na grubym kiju drżącym pod jego drugą ręką.

³² *Marienbad* (niem.), ob. *Mariańskie Łaźnie* – miejscowość w Czechach, od XIX w. popularny kurort, słynny ze źródeł mineralnych. [przypis edytorski]

– Marzyłem zawsze – wymamlał zapalczywym głosem – o grupie ludzi, którzy by z całą bezwzględnością odrzucili wszelkie skrupuły co do środków działania, ludzi dość silnych, aby przybrać otwarcie nazwę niszczycieli, ludzi wolnych od skazy tego zrezygnowanego pesymizmu, który zaraził cały świat. Takich ludzi nieznających litości dla niczego, co ziemskie, nie wyłączając siebie samych, i śmierć wprzęgniętą w służbę ludzkości – oto, co chciałem zobaczyć.

Mała łysa głowa Yundta trzęsa się, przejmując zabawnym dygotem białą kozią bródkę. Cudzoziemiec nie rozumiałby prawie nic z jego tyrady. Wyschnięte gardło i bezzębne dziąsła, do których język jakby się lepił, nie ułatwiały Yundtowi wyładowania bezsilnej pasji, przypominającej zapalczywą niemocą podniecenie lubieżnego starca. Pan Verloc, usadowiony na kanapie w drugim końcu pokoju, mruknął coś parę razy, potakując gorliwie.

Stary terrorysta pokręcił z wolna głową osadzoną na wychudłej szyi.

– I nigdy nie mogłem znaleźć choćby trzech takich ludzi. To jest odpowiedź na twój zgniły pesymizm – warknął do Michaelisa, który rozkrzyżował grube nogi podobne do kłód i nagle wsunął stopy pod krzesło na znak zniecierpliwienia.

On, Michaelis, i pesymizm! Niesłychane! Oburza go to oskarżenie! Jest tak daleki od pesymizmu, że widzi już koniec wszelkiej prywatnej własności zbliżający się logicznie, nieodparcie, po prostu na skutek rozwoju zawartego w

niej zła. Posiadacze będą musieli nie tylko stawić czoło zbudzonemu proletariatowi, ale i walczyć pomiędzy sobą. Tak. Walka, wojny są nieodłączne od prywatnej własności. Są nieuniknione. On, Michaelis, nie potrzebuje uczuciowych podniet dla krzepienia swej wiary, nie potrzebuje ani deklamacji, ani gniewu, ani wizji powiewających krwawych flag, ani metafor o ponurych słońcach zemsty, które wschodzą nad horyzontem społeczeństwa skazanego na zagładę. Nic podobnego! Zdrowy rozsądek jest podstawą jego optymizmu, oświadczył chętnie. Tak, optymizmu. Mozolne sapanie ustało i Michaelis dodał, odetchnąwszy parę razy głęboko:

– Chyba rozumiesz, że gdyby nie mój optymizm, w ciągu piętnastu lat byłbym znalazł sposób, aby sobie poderżnąć gardło. A w ostateczności mogłem zawsze roztrzaskać głowę o ściany celi.

Brak tchu odejmował głosowi Michaelisa wszelki zapach i wszelkie ożywienie; wielkie, blade jego policzki wisiały jak pełne sakwy, bez ruchu, bez drgnięcia; niebieskie, zmrużone oczy zdawały się w coś wpatrywać z wyrazem chytrej pewności siebie, nieruchome i trochę błędne; taki sam wyraz musiał mieć ten nieugięty optymist, gdy rozmyślał nocą w swej celi. Przed Michaelisem stał Karl Yundt, z fantazją zarzuciwszy na ramię połę wyblakłego zielonawego haweloka³³. Na wprost kominka siedział towarzysz Ossipon, były student medycyny,

³³ *hawelok* – popularny na przełomie XIX i XX w. płaszcz męski bez rękawów, z pelerynką, pod którą umieszczone były otwory na ręce. [przypis edytorski]

główny autor ulotek Przyszłości Proletariatu; jego muskularne nogi były wyciągnięte, a podeszwy butów zwrócone ku żarowi ogniska. Gąszcz żółtych kręconych włosów wznosił się nad jego czerwoną piegowatą twarzą o spłaszczonym nosie i grubych wargach Murzyna; oczy kształtu migdałów rzucały powłóczyste spojrzenia znad wydatnych kości policzkowych. Miał na sobie szarą flanelową koszulę; luźne końce czarnego jedwabnego krawata spadały mu na zapiętą marynarkę; siedząc z głową odchyloną na tył krzesła, z szyją odsłoniętą, podnosił do ust papierosa w długiej drewnianej cygarniczce i pykał kłębami dymu prosto w sufit.

Michaelis snuł w dalszym ciągu myśl poczętą w samotnej celi – myśl, którą zawdzięczał więzieniu i która rozrastała się w nim jak objawiona wiara. Mówił do siebie, obojętny na współczucie lub wrogość słuchaczy, obojętny nawet na ich obecność; mówił, gdyż przywykł rozmyślać głośno i ufnie wśród samotności czterech bielonych ścian, wśród grobowej ciszy zalegającej wewnątrz olbrzymiego, głuchego stosu cegieł, który sterczał w pobliżu rzeki, złowrogi i szpetny jak kolosalny nagrobek ludzi straconych dla społeczeństwa.

Michaelis był słabym polemistą, lecz nie dlatego, aby ustępował przed pierwszym lepszym argumentem; po prostu sam dźwięk czyjegoś głosu mieszał go w przykry sposób, mącąc mu od razu tok myśli, których przez długie lata, wśród samotności ducha bardziej jałowej niż bezwodna pustynia, żaden żyjący głos nie zwalczał, nie pochwalał, nie komentował.

Nikt mu teraz nie przerywał; uczynił więc po raz drugi wyznanie swej wiary, która ośwładnęła nim przemożnie i nieodparcie jak za sprawą zesłanej łaski: oto zrozumiał, że tajemnica przeznaczenia tkwi w materialnej stronie życia; stan ekonomiczny świata ponosi odpowiedzialność za przeszłość, kształtuje przyszłość; jest źródłem wszelkiej historii, wszystkich idei, przewodzi umysłowemu rozwojowi ludzkości, a nawet jej namiętnym porywom...

Szorstki śmiech towarzysza Ossipona przeciął nagle tyradę; język zaplątał się apostołowi, a jego łagodne oczy pełne uniesienia zaczęły błąkać się niespokojnie. Zamknął je z wolna na chwilę, jakby chciał zebrać rozproszone myśli. Zapadło milczenie. Dwa płomyki gazowe nad stołem i rozżarzone palenisko kominka nagrzały do niemożliwości niewielki salonik za sklepem. Pan Verloc zszedł z kanapy niechętnie i ociężale, otworzył drzwi prowadzące do kuchni, aby wpuścić więcej powietrza, i odsłonił Steviego. Chłopiec, Bogu ducha winien, siedział grzecznie i spokojnie przy sosnowym stole, rysując kręgi, kręgi, kręgi; niezliczone kręgi dośrodkowe, odśrodkowe, połyskliwy wir kręgów, które przez powikłaną mnogość kół, przez monotonię kształtu i gmatwaninę przecinających się linii przypominały wizerunek kosmicznego chaosu, dzieło jakiejś obłąkanej sztuki symbolicznej porywającej się na niepojęte. Artysta nie odwrócił głowy, przejęty do głębi swoim zadaniem; jego plecy drgały, a szczupły kark z głęboką wklęsłością u podstawy czaszki tak się napreżył, że zdało się, pęknie lada

chwila.

Pan Verloc, zaskoczony tym widokiem, burknął coś z niechęcią i wrócił na kanapę. Aleksander Ossipon wstał, wysoki pod niskim sufitem w swym wytartym granatowym garniturze z szewiotu³⁴; otrząsnął się ze sztywności wywołanej długim bezruchem i leniwymi krokami poszedł do kuchni (dwa schodki w dół), aby zajrzeć przez ramię Steviego. Wrócił, orzekając tonem wyroczni:

– Świetne. Bardzo charakterystyczne, na wskroś typowe.

– Co jest świetne? – bąknął pytająco pan Verloc, usadowiwszy się ponownie w rogu kanapy.

Ossipon wyjaśnił niedbale z odcieniem wyższości, kiwnąwszy głową w stronę kuchni:

– Typowe dla tego rodzaju zwyrodnienia; mówię o rysunkach.

– Uważacie tego chłopca za degenerata, co? – mruknął pan Verloc.

Towarzysz Aleksander Ossipon zwany Doktorem, były student bez dyplomu, a potem wędrowny prelegent przemawiający na temat higieny z socjalistycznego punktu widzenia; autor popularnej pseudomedycznej pracy (marnej broszury skonfiskowanej szybko przez policję) pod tytułem *Demoralizujące nałogi klas średnich*; specjalny delegat mniej czy więcej tajemniczego Czerwonego Komitetu, wspólnie z Karlem Yundtem i Michaelisem, do spraw propagandy literackiej,

³⁴ szewiot – rodzaj szorstkiej, lekko połyskliwej tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

zwrócił na ukrytego zauszniaka co najmniej dwóch ambasad wzrok pełen tej nieznośnej, beznadziejnie tępej zarozumiałości, której przeciętnie głupi ludzie nabierają tylko przez obcowanie z nauką.

– Nazwałbym go tak z naukowego punktu widzenia. On jest w ogóle świetnym okazem tego rodzaju degenerata. Dość spojrzeć na końcu jego uszu. Gdybyście czytali Lombrosa³⁵....

Pan Verloc, rozparty na kanapie, wciąż patrzył markotnie na guziki swej kamizelki, a jego policzki zabarwiły się lekkim rumieńcem. Od niedawna każde słowo pokrewne choćby w najłżejszym stopniu słowu „nauka” (który to wyraz jest terminem niewinnym i nie posiada określonego znaczenia) miało dziwną właściwość: oto wywoływało w umyśle Verloca, z prawie nadnaturalną plastycznością, wizję pana Władimira we własnej osobie. Ten niezmiernie przykry objaw, należący bezwzględnie do zjawisk niezwykle, wprowadzał pana Verloca w stan lęku oraz wściekłości, skłonnej do ujawniania się w gwałtownych przekleństwach. Lecz pan Verloc milczał. Przemówił natomiast Karl Yundt, nieubłagany do ostatniego tchnienia.

– Lombroso jest osioł.

Towarzysz Ossipon odparł cios tego bluźnierstwa strasznym, bezmyślnym spojrzeniem. Oczy Yundta, wygasłe i matowe, pogłębiały cienie pod jego wielkim, kościstym czołem;

³⁵ *Lombroso, Cesare* (1835–1909) – włoski psychiatra i kryminolog, propagator antropometrii, twórca teorii zakładającej, że niektóre osoby mają wrodzone skłonności do zachowań przestępczych lub chorób psychicznych, co można rozpoznawać po pewnych degeneracyjnych lub atawistycznych cechach wyglądu. [przypis edytorski]

mamrotał, chwytając raz po raz wargami koniec języka, jakby go żuł ze złością:

– Idiota, jakiego świat nie widział. Według niego więzień jest przestępcą. To takie proste! A kim są ci, co go zamknęli – wpakowali do więzienia przemocą? Tak, przemocą! I czymże jest zbrodnia? Czy wie coś o tym głupiec Lombroso, który zrobił karierę na tym świecie sytych kpów, przyglądając się uszom i zębom różnych pechowych nieboraków? Więc zęby i uszy piętnują przestępców – tak uważacie? A co powiemy o prawie, które piętnuje ich jeszcze skuteczniej – o tym świetnie działającym narzędziu, wymyślonym przez ludzi sytych po dziurki od nosa, po to, żeby zabezpieczyć się przed głodnymi? Dalejże z rozpalonym żelazem do nikczemnych skór nędzarzy! Czujecie swąd, słyszycie, jak skwierczy i syczy gruba skóra tych ludzi? Tak się przygotowuje zbrodniarzy dla waszych Lombrosów, aby mogli wypisywać o nich swe brednie.

Nogi i gałka łaski trzęsły mu się z gniewu, a tors owinięty połamami haweloka trwał w słynnej pozie Yundta, pełnej wyzwania. Zdawało się, że terrorysta wciąż powietrze skażone społecznym okrucieństwem, że chwyta wytężonym uchem jego ohydne odgłosy. W postawie Yundta była nadzwyczajna siła sugestii. Ledwie zipiący weteran wojen dynamitowych był swego czasu wielkim aktorem – na estradach, na tajnych zebraniach, podczas prywatnych wywiadów. Słynny terrorysta w ciągu całego życia nigdy nie podniósł ręki na ustrój społeczny. Nie był człowiekiem czynu; nie był nawet mówcą o ognistej wymowie

porywającej tłumi wśród zgiełku i wrzenia wielkiego zapachu. Zamysły jego były o wiele chytrzejsze; wziął na siebie rolę bezczelnego, jadownego budziciela złowrogich porywów, które czają się w ślepej zawiści i rozjątrzonej pysze ignorancji, w cierpieniu i nędzy biedoty, we wszystkich ufnych i szlachetnych złudzeniach sprawiedliwego gniewu, współczucia, buntu. Cień jego złowrogich zdolności włókł się za nim dotychczas, niby zapach śmiertelnego narkotyku trzymający się starej flaszeczki z trucizną, opróżnionej, bezużytecznej, nadającej się tylko do wyrzucenia na śmietnik jako rzecz, która swoje zrobiła.

Niewyraźny uśmiech przewinął się po zlepionych wargach Michaelisa, apostoła na urlopie; jego nalana twarz podobna do księżyca w pełni opadła na pierś ruchem melancholijnego potwierdzenia. Przecież sam był więźniem. Wyszeptał cicho, że jego skóra także syczała pod dotknięciem rozpalonego żelaza. Tymczasem Ossipon, zwany Doktorem, uporał się już z ciosem zadany mu przez Yundta.

– Co wy tam rozumiecie – zaczął pogardliwie i urwał, zmieszany śmiertelną czernią zapadłych oczu, które zwracały ku niemu z wolna jakby ślepe spojrzenie, kierujące się samym dźwiękiem. Ossipon zaniechał dyskusji, wzruszając lekko ramionami.

Stevie, przyzwyczajony do tego, że nikt nie zwraca na niego uwagi, wstał od kuchennego stołu, zabierając swój rysunek do łóżka. Przechodził właśnie obok drzwi do saloniku i przystanął, porażony obrazową elokwencją Karla Yundta. Upuścił papier

pokryty kręgami i wlepił oczy w starego terrorystę, przykuty do miejsca chorobliwą zgrozą i strachem, który odczuwał zawsze na myśl o bólu fizycznym. Stevie wiedział doskonale, że to bardzo boli, jeśli przytknąć do skóry rozpalone żelazo. Jego przerażone oczy zabłyśły gniewem, usta mu się otworzyły; to musi być straszny ból.

Michaelis, patrząc w ogień nieruchomym wzrokiem, odzyskał poczucie odosobnienia niezbędne dla ciągłości swych myśli. Z jego ust znowu zaczął płynąć optymizm. Widział kapitalizm skazany na zagładę już w kołysce, urodzony z jadem konkurencji zawartym w swoim systemie. Widział, jak wielcy kapaliści pożerają małych, jak gromadzą siłę i narzędzia produkcji w wielkich ilościach, jak doskonałą wytwórczość przemysłową i w szale pomnażania swych bogactw tylko przygotowują, organizują, wzbogacają prawne dziedzictwo cierpiącego proletariatu. Wreszcie Michaelis wyrzekł wielkie słowa: „Miejcie cierpliwość” – a jego jasnoniebieskie spojrzenie, wzniesione ku niskiemu sufitowi saloniku, wyrażało ufność zaiste anielską. U drzwi stał Stevie, uspokojony i jakby ogłupiały.

Twarz towarzysza Ossipona zadrżała gniewem.

– Więc najlepiej nic nie robić... bo i po co.

– Tego nie mówię – zaprzeczył łagodnie Michaelis. Jego wizja prawdy stała się tak potężna, że dźwięk obcego głosu nie zdołał jej spłoszyć. Apostoł patrzył ciągle w głąb kominka na czerwone węgle. Torowanie dróg dla przyszłości jest konieczne; Michaelis nie przeczył temu, że wielka zmiana może przyjść wśród

zamętu rewolucji. Ale dowodził, iż propaganda rewolucyjna jest subtelną pracą bardzo wrażliwego sumienia. Toż to urabianie władców świata. Taka propaganda powinna być równie staranna jak wychowywanie królów. Trzeba, aby rozpowszechniała swe zasady ostrożnie, nawet lękliwie, gdyż nie wiemy, jaki wpływ może wyrzucić taka lub inna zmiana ekonomiczna na szczęście, moralność, intelekt, na historię rodu ludzkiego. Albowiem historię tworzą narzędzia nie zaś idee, a warunki ekonomiczne zmieniają wszystko – sztukę, filozofię, miłość, cnotę... nawet prawdę!

Węgły na palenisku osunęły się z lekkim trzaskiem; Michaelis, pustelnik żyjący wizjami w więziennej samotni, powstał gwałtownie z miejsca. Okrągły na kształt balonu, rozwarł krótkie, grube ramiona, jakby usiłując we wzruszającym i beznadziejnym porywie objąć i przycisnąć do piersi wszechświat, który się sam przez się odrodził. Zadyszał się od entuzjazmu.

– Przyszłość jest równie pewna jak przeszłość: niewolnictwo, feudalizm, indywidualizm, kolektywizm. To jest stwierdzenie prawa, a nie czcze proroctwo.

Wydęte lekceważąco grube wargi towarzysza Ossipona uwydatniły murzyński typ jego twarzy.

– Bzdury – rzekł dość spokojnie. – Nie ma żadnych praw i nie ma pewności. Do licha z propagandą pedagogiczną. To, co ludzie wiedzą, nie ma żadnego znaczenia, choćby ta wiedza była jak najściślejsza. Jedyna rzecz, która ma dla nas znaczenie, to stan uczuciowy mas. Bez uczuć nie ma czynu.

Zamilkł, po czym dodał ze skromną stanowczością:

– Mówię to z punktu widzenia nauki... nauki... Co? Coście powiedzieli, Verloc?

– Nic – burknął z kanapy pan Verloc, którego znienawidzone słowo pobudziło tylko do mruknięcia: „Cholera”.

Jadowity bełkot bezzębnego terrorysty rozległ się znowu.

– Wiecie, jak bym nazwał współczesne stosunki ekonomiczne? Ludożerstwem. Ni mniej, ni więcej! Wyzyskiwacze po prostu syca swoją chciwość drgającym mięsem i ciepłą krwią ludu.

Stevie przełknął głośno to przerażające twierdzenie i naraz, jakby pod wpływem szybkiej trucizny, osunął się, siadając bezwładnie na schodkach prowadzących do kuchni.

Po Michaelisie nie było znać, czy coś słyszał. Jego wargi wyglądały jakby sklezione na zawsze; obwisłe policzki ani drgnęły. Rozejrzał się mętными oczami za swym melonikiem i włożył go na okrągłą głowę. Jego kuliste, opaste ciało, rzekłbyś, płynęło nisko między krzesłami, pod ostrym łokciem Karla Yundta. Stary terrorysta podniósł rękę drżącą, szponiastą i przesunął zawadiacko na bok czarny pilśniowy kapelusz o szerokim rondzie rzucającym cień na kości i zagłębienia zniszczonej twarzy. Ruszył powoli z miejsca, stukając kijem o podłogę za każdym krokiem. Trudno było go wyprowadzić, bo od czasu do czasu przystawał jakby w zadumie i ani myślał się ruszyć, póki Michaelis nie pociągnął go naprzód. Łagodny apostoł wziął Yundta pod ramię z braterską troskliwością,

a za nimi krzepki Ossipon ziewnął z lekka, trzymając ręce w kieszeniach. Zsunęta na tył głowy granatowa czapka o lakierowanym daszku odsłaniała jego gęstą czuprynę, nadając mu wygląd norweskiego marynarza znudzonego światem po wściekłej pijatyce. Verloc wyprowadził gości na ulicę, towarzyszył im bez kapelusza, w otwartym palcie, nie odrywając oczu od ziemi.

Zamknął drzwi za ich plecami z hamowaną gwałtownością, obrócił klucz w zamku, zasunął rygiel. Nie był zadowolony ze swych przyjaciół. Wobec filozofii rzucania bomb wyłożonej przez pana Władimira wydawali się beznadziejnie jałowi. Ponieważ rola Verloca w polityce rewolucyjnej polegała na obserwacji, nie mógł podjąć zaraz inicjatywy czynu, czy to we własnym domu, czy na większych zebraniach. Musiał być ostrożny. Przejęty słusznym oburzeniem czterdziestokilkoletniego mężczyzny, zagrożonego w tym, co mu jest najdroższe – w swym spokoju i bezpieczeństwie – zapytywał siebie z pogardą, czego się właściwie mógł po tej bandzie spodziewać, po takim Karlu Yundtcie, takim Michaelisie... takim Ossiponie.

Chcąc zakręcić gaz na środku sklepu, pan Verloc przystanął i zapadł natychmiast w otchłań filozoficznych rozmyślań. Wydał sąd o tych ludziach wiedziony intuicją, której źródłem było pokrewne im usposobienie. Cóż to za leniwa zgraja – na przykład ten Karl Yundt, zdany na opiekę staruszki o kaprawych oczach, kobiety, którą odebrał kiedyś przyjacielowi i której potem nieraz

usiłował się pozbyć, spychając ją do rynsztoka. Na szczęście dla Yundta za każdym razem powracała do niego wytrwale, bo inaczej któż by pomagał temu upirowi wysiadać z omnibusu u bramy Green Parku, dokąd jeździł każdego pięknego ranka, aby zażywać zdrowotnej przechadzki, wlokąc się noga za nogą. Gdy burkliwa, nieposkromiona stara wiedźma przeniesie się do wieczności, zadzierzysty upiór też będzie musiał zniknąć – przyjdzie koniec na ognistego Karla Yundta.

Pan Verloc czuł się także urażony w swej etyce optymizmem Michaelisa. Łagodny apostoł został przygarnięty przez bogatą starą damę, która ostatnimi czasy posyłała go do swej wili na wsi. Były więzień mógł tam wałęsać się całymi dniami po cienistych drózkach wśród rozkosznej, prawdziwie humanitarnej beczynności. Co się zaś tyczyło Ossipona, temu drągalowi z pewnością nie zbraknie niczego, póki są na świecie głupie dziewczęta posiadające książeczki oszczędnościowe. I pan Verloc, mając usposobienie identycznie takie samo jak jego koledzy, wynajdywał między sobą a nimi głębokie różnice na podstawie nieznaczących odchyień. Wynajdywał je z pewnym upodobaniem, ponieważ instynkt konwencyjnalnej przyzwoitości był silnie w nim rozwinięty i ustępował tylko niechęci do wszelkiego rodzaju istotnej pracy. Ową negatywną cechę dzielił pan Verloc z wielką liczbą rewolucjonistów, reformatorów pewnego społecznego porządku. Albowiem człowiek nie buntuje się przeciw korzystnym dla niego stronom danego porządku, lecz przeciw cenie, którą trzeba

zań płacić monetą ogólnie przyjętej moralności, ciężkiej pracy i panowania nad sobą. Rewolucjoniści są przeważnie wrogami dyscypliny i trudu. Trafiają się między nimi ludzie, którzy w swym poczuciu sprawiedliwości sądzą, że cena wymagana za pewien ład społeczny jest potwornie wielka, ohydna, gniotąca, uciążliwa, haniebną, że jest zdzierstwem niemożliwym do zniesienia. Ci są fanatykami. Za resztę buntowników społecznych odpowiedzialna jest próżność, matka wszystkich szlachetnych i wszystkich niskich złudzeń, towarzysza poetów, reformatorów, szarlatanów, proroków i podpalaczy.

Pan Verloc, który zapadł na całą minutę w otchłań zadumy, nie dotarł jednak do dna swych abstrakcyjnych rozważań. Może nie był do tego zdolny. W każdym razie brakowało mu czasu. Ocknął się w przykry sposób, pomyślawszy nagle o panu Władimirze, jeszcze jednym towarzyszu, którego również mógł trafnie ocenić ze względu na subtelne powinowactwa moralne. Uważał go za niebezpiecznego. Ciężko zawiści wśliznął się do rozmyślań pana Verloca. Wolno się było wałkonić tamtym ludziom, którzy nie znali pana Władimira i mogli znaleźć oparcie w kobietach; tymczasem on, Verloc, musiałłożyć na utrzymanie swojej kobiety...

Tu zwykłe skojarzenie myśli stawiało pana Verloca wobec konieczności udania się wcześniej lub później na spoczynek. Czemu więc nie położyć się zaraz – natychmiast? Westchnął. Ta perspektywa nie wzniewiała w nim przyjemnego uczucia, jakiego normalnie powinien był doznać mężczyzna w jego wieku i o jego

temperamencie. Bał się okropnie demona bezsenności, który się zawiazał na niego. Podniósłszy rękę, Verloc zakręcił płomień gazu migocący mu nad głową.

Jasne pasmo światła padało za ladę przez drzwi od saloniku. Pozwoliło to panu Verlocowi ustalić od jednego spojrzenia liczbę srebrnych monet w podręcznej kasie. Było ich bardzo mało; po raz pierwszy od chwili otwarcia sklepu Verloc spojrzał nań z handlowego punktu widzenia. Wynik tego spojrzenia był niekorzystny. Pan Verloc został kupcem bynajmniej nie w celach handlowych. A wybrał tę właśnie gałąź handlu wskutek instynktownego zamiłowania do mętnych interesów dających łatwy zarobek. Przy tym dzięki swemu sklepowi mógł pozostać w sferze, do której należał i na którą ma oko policja, co więcej, mógł zajmować w tej sferze jawne stanowisko; sytuacja kupca owej branży bardzo mu dogadzała, gdyż będąc w tajnych stosunkach z policją, spoufalił się z nią i nic z niej sobie nie robił. Lecz jako środek utrzymania jego interes handlowy był sam przez się niewystarczający.

Wyjął z szuflady skrzynkę z pieniędzmi i opuszczając sklep, przekonał się, że Stevie jest jeszcze w kuchni.

Cóż on tam robi u licha, zapytał siebie. Co znaczą te błazeństwa? Spojrzał niepewnie na szwagra, ale nie zażądał od niego wyjaśnień. Rozmowy Verloca ze Steviem ograniczały się do niedbałego mruknięcia po rannym śniadaniu: „Trzewiki”, a nawet i to było raczej rzuconym w przestrzeń życzeniem niż wyraźnym rozkazem lub prośbą. Pan Verloc spostrzegł,

nico zdziwiony, że właściwie nie wie, co Steviemu powiedzieć. Zatrzymał się na środku saloniku i milcząc, zająrzał do kuchni. Nie wiedział także, jaki skutek miałyby jego odezwanie się. Wydało mu się to bardzo dziwne wobec świadomości, która błysnęła mu nagle, że i ten chłopiec był na jego utrzymaniu. Nigdy jeszcze na Steviego pod tym kątem nie patrzył.

Nie miał pojęcia, jak do chłopca się zwrócić. Przypatrywał się Steviemu, który machał rękami i mruczał coś do siebie. Krążył naokoło stołu jak podniecone zwierzę w klatce. Pan Verloc zaproponował:

– Może byś tak poszedł spać?

Nie wywarło to żadnego skutku; Verloc przestał wpatrywać się w szwagra kamiennym wzrokiem i przeszedł ciężkimi krokami przez salonik, trzymając w ręku kasę. Idąc po schodach, poczuł zmęczenie płynące ze źródeł czysto psychicznych i stąd zupełnie dla niego niezrozumiałe. Zaniepokoił się. Miał nadzieję, że to nie jest początek jakiejś choroby, przystanął jednak na ciemnej platformie schodów, aby zdać sobie sprawę ze swych wrażeń. Zamącił je lekki, nieustanny odgłos chrapania przenikający ciemność. Odgłos ten dochodził z pokoju teściowej. Jeszcze jedna gęba do wyżywienia, pomyślał, wchodząc do sypialni.

Gazu na górze nie było; pani Verloc zasnęła przy lampie palącej się jasno na stole obok łóżka. Światło spod abażuru padało jaskrawym blaskiem na wgłębienie białej poduszki, gdzie spoczywała głowa o zamkniętych oczach i ciemnych włosach

splecionych na noc w kilka warkoczy. Winnie ocknęła się z dźwiękiem swego imienia w uszach i zobaczyła męża stojącego nad sobą.

– Winnie! Winnie!

Nie poruszyła się z początku; leżała bardzo spokojnie, patrząc na skrzynkę z pieniędzmi w rękach męża. Ale gdy zrozumiała, że jej brat „rozbija się po kuchni”, spuściła nogi z łóżka nagłym ruchem. Jej nagie stopy, jakby przebiwszy dno prostego perkalowego³⁶ worka zaopatrzonego w rękawy i zapiętego szczelnie u szyi oraz rąk, szukały po dywanie pantofli; oczy były podniesione ku twarzy męża.

– Nie umiem sobie z nim poradzić – wyjaśnił opryskliwie pan Verloc. – Nie można go zostawiać na dole samego z zapalonym gazem.

Nie odpowiedziała nic, przesunęła się szybko przez pokój i drzwi zamknęły się za jej białą postacią.

Pan Verloc postawił skrzynkę z pieniędzmi na nocnym stoliku i zaczął czynność rozbierania się od ciśnięcia palta na oddalone krzesło. W ślad za paltem poszły surdut i kamizelka. Chodził w skarpetkach po pokoju; jego otyła postać odbijała się raz po raz w długiej tafli lustra umieszczonego w żoninej szafie, gdy mijał ją tam i z powrotem, manewrując nerwowo rękami u szyi. Spuścił szelki z ramion, podniósł gwałtownie żaluzję i oparł czoło o zimną szybę – wątlą błonę szkła tkwiącą między

³⁶ *perkalowy* – wykonany z *perkalu*, cienkiego bawełnianego płótna. [przypis edytorski]

nim a olbrzymim zbiorowiskiem zimnych, czarnych, mokrych, oślizłych, niegościnnych cegieł, dachówek i kamieni, rzeczy, które są z natury niemiłe i nieprzychylnie człowiekowi.

Pan Verloc odczuwał skrytą nieżyczliwość wszystkiego, co było na dworze, odczuwał ją tak silnie, że zakrawało to na ból fizyczny. Myślał o tym, że wśród ludzi wysadzonych z siodła nikt nie czuje się równie bezradny jak tajny agent policji. „Zupełnie jakby koń padł pod człowiekiem wśród bezludnej, jałowej równiny”. Porównanie to nasunęło się panu Verlocowi, ponieważ swego czasu jeździł na różnych koniach wojskowych i miał teraz wrażenie, że grozi mu upadek. Ta perspektywa była równie mroczna jak szyba, o którą wsparł czoło. Nagle ukazała się przed nim twarz pana Władimira, wygolona i pełna dowcipu, otoczona aureolą bijącą z rumianej cery niby różowa pieczęć wyciśnięta na złowieszczej ciemności.

Owa jasna fragmentaryczna wizja wywarła na panu Verlocu tak strasznie realne wrażenie, że odskoczył od okna, spuszczać żaluzję z głośnym trzaskiem. Znękany, oniemiały ze strachu przed dalszą możliwością podobnych wizji, zobaczył żonę wchodzącą do pokoju; położyła się do łóżka spokojnie i szybko. Pan Verloc poczuł się beznadziejnie samotny. Winnie wyraziła zdziwienie, że mąż jest jeszcze na nogach.

– Jakoś nieszczególnie się czuję – mruknął, przesuwając ręką po wilgotnym czole.

– Masz zawrót głowy?

– Tak. Bardzo mi niedobrze.

Pani Verloc z niewzruszonym spokojem doświadczonej małżonki wyraziła swoje zdanie o przyczynach tego złego samopoczucia i zaproponowała zwykłe na to lekarstwo, lecz jej mąż, który stał wciąż jak wryty na środku pokoju, pokręcił głową ze smutkiem.

– Zaziębisz się, jeśli tak będziesz stał nieubrany – zauważyła.

Pan Verloc z wysiłkiem skończył się rozbierać i położył się. Na wąskiej, spokojnej ulicy miarowe kroki zbliżyły się i stopniowo zamarły w oddali, nieśpieszne i stanowcze, jakby przechodzień mijający dom zamierzał maszerować przez całą wieczność od jednej latarni do drugiej, wśród nocy bez końca; senne tykanie starego zegara wiszącego na klatce schodowej dotarło wyraźnie aż do sypialni.

Pani Verloc zauważyła, leżąc na wznak i patrząc w sufit:

– Bardzo mało dziś wpłynęło do kasy.

Verloc, leżąc w tej samej pozycji, odchrząknął, jakby chciał powiedzieć coś ważnego, lecz zapytał po prostu:

– Zgasiłaś gaz na dole?

– Owszem, zgasłam – odrzekła sumiennie pani Verloc. – Biedny chłopiec jest dziś strasznie podniecony – szepnęła po pauzie trwającej trzy tyknięcia zegara.

Podniecenie Stewiego wcale Verloca nie obchodziło, ale był wybity ze snu i lękał się strasznie mroku i ciszy, które miały nastąpić po zgaszeniu lampy. Ten lęk skłonił go do wypowiedzenia uwagi, że Stevie puścił mimo uszu jego radę, aby pójść się położyć. Pani Verloc połknęła haczyk; zaczęła

dowodzić długo i szeroko, iż to nie była wcale „zuchwałość” ze strony Stephena, tylko „podniecenie”. W całym Londynie nie znajdzie się chłopca, który by był bardziej uległy i chętny do wszystkiego, bardziej kochający i gotów do usług, i nawet pożyteczny, jeśli ludzie nie mącą mu w biednej głowinie. Obróciła się ku spoczywającemu małżonkowi; wsparta na łokciu, pochyliła się nad nim, pragnąc gorąco, aby uwierzył, że Stevie może być użytecznym członkiem rodziny. Pod wpływem tej żarliwej opiekuńczej litości, wybujałej przesadnie już w dzieciństwie i wzbudzonej nieszczęściem drugiego dziecka, blade policzki Winnie pokrył ciemny rumieniec, a wielkie jej oczy błyszczały spod ciemnych powiek. Pani Verloc wydawała się młodsza, równie młoda jak przed kilku laty i znacznie bardziej ożywiona; dawna Winnie, mieszkająca w dzielnicy Belgravia, nie pozwalała sobie nigdy na takie ożywienie w obecności lokatorów. Niepokój Verloca przeszkodził mu zdać sobie sprawę z tego, co mówiła. Było to tak, jakby jej głos rozlegał się z drugiej strony bardzo grubej ściany. Dopiero wygląd Winnie przywołał go do przytomności.

Podobała mu się ta kobieta; uświadomił to sobie, widząc na jej twarzy jakby wzruszenie, co zwiększyło jeszcze jego udrękę. Gdy głos Winnie ucichł, pan Verloc poruszył się niespokojnie i rzekł:

– Już od kilku dni czuję się niedobrze.

Może uważał to za wstęp do zwierzeń bardziej zasadniczych, ale pani Verloc położyła znów głowę na poduszce i ciągnęła

dalej, patrząc w sufit:

– Chłopiec za dużo się nasłuchiwał wszystkiego, co się tu mówi. Gdybym wiedziała, że oni przyjdą dziś wieczór, byłabym dopilnowała, żeby poszedł spać razem ze mną. Posłyszał coś o jedzeniu ludzkiego mięsa i piciu krwi, i to go wyprowadziło z równowagi. Po cóż to gadać takie rzeczy?

Nuta oburzenia i pogardy dźwięczała w jej głosie. Pan Verloc podzielał teraz jej uczucia w całej pełni.

– Spytaj Karola Yundta – warknął dziko.

Pani Verloc orzekła z wielką stanowczością, że Karl Yundt jest „wstrętnym starym grzybem”. Wyznała otwarcie swoją sympatię dla Michaelisa. Nie nadmieniła jednak nic o Ossiponie, w którego obecności odczuwała zawsze niepokój maskowany niewzruszoną powściągliwością. I znów zaczęła mówić o bracie, który był od tylu lat przedmiotem jej opieki i niepokoju:

– To, co się tu opowiada, nie jest dla niego odpowiednie. On myśli, że to wszystko prawda. Nic z tego nie rozumie i wpada w straszny gniew, kiedy coś podobnego usłyszy.

Pan Verloc nic na to nie odpowiedział.

– Kiedy zesłam na dół, patrzył na mnie, jakby mnie nie poznawał. Serce mu biło jak młotem. Cóż on na to poradzi, że jest taki wrażliwy. Obudziłam matkę i poprosiłam, żeby siedziała przy nim, póki nie zaśnie. On nie jest temu winien. Nie ma z nim żadnego kłopotu, jeśli mu dać spokój.

Pan Verloc milczał w dalszym ciągu.

– Żałuję, że się go posyłało do szkoły – podjęła nagle pani

Verloc. – Zabiera zawsze do czytania te gazety z wystawy. Ślęczy nad nimi i dostaje wypieków. Nie sprzedaje się tego nawet dwunastu sztuk na miesiąc. Zabierają tylko miejsce na wystawie. A Ossipon przynosi co tydzień cały stos tych ulotek P. P., żeby je sprzedawać po pół pensa³⁷. Nie dałabym pół pensa za to wszystko. To po prostu bzdury i nic więcej. Nie mają żadnego zbytu. Któregoś dnia Stevie złapał taką ulotkę; było tam opowiadanie o niemieckim oficerze, który o mało co nie oderwał rekrutowi ucha i wcale go za to nie ukarano. Co za bydlę! Tego popołudnia nie mogłam sobie ze Steviem dać rady. Nic dziwnego, że na takie rzeczy krew się burzy w człowieku. Ale po co to drukować? Dzięki Bogu nie jesteśmy niewolnikami jak Niemcy. Co to nas obchodzi... nieprawdaż?

Pan Verloc nic nie odrzekł.

– Musiałam odebrać chłopcu nóż do krajania mięsa – ciągnęła pani Verloc trochę już sennie. – Krzyczał i tupał, i szlochał. Nie może znieść myśli o okrucieństwie. Byłby zadźgał tego oficera jak świnie, gdyby go wtedy zobaczył. Naprawdę. Niektórzy ludzie wcale na litość nie zasługują. – Głos pani Verloc zamilkł, a wyraz nieruchomych jej oczu robił się coraz bardziej zamyślony i mglisty podczas długiego milczenia. – Wygodnie ci, kochanie? – spytała cichym, dalekim głosem. – Czy mogę już zgasić światło?

Ponure przeświadczenie, że nie ma dla niego snu, opanowało Verloca; leżał beznadziejnie, niemy i bezwładny w strachu przed

³⁷ *pół pensa* – w dawnym angielskim systemie pieniężnym półpensówka była najdrobniejszą monetą. [przypis edytorski]

ciemnością. Uczynił wielki wysiłek.

– Dobrze. Zgaś – rzekł w końcu głucho.

IV

Z trzydziestu mniej więcej stolików, pokrytych czerwonymi obrusami w biały deseń, większość stała przysunięta pod kątem prostym do ciemnobrunatnych boazerii podziemnej sali. Brązowe świeczniki o licznych kloszach zwisały z niskiego, lekko sklepionego sufitu, a wokół ścian pozbawionych okien biegły płaskie, ciemne w kolorze freski przedstawiające sceny z polowań i uczt na świeżym powietrzu. Ludzie biorący w nich udział byli w średniowiecznych ubiorach; pacholkiwie przybrani w zielone kaftany dzierżyli myśliwskie noże, podnosząc wysoko dzbany pieniącego się piwa.

– Głowę bym dał, że wy wiecie, co tkwi w tej przeklętej sprawie – rzekł krzepki Ossipon, który siedział z nogami wciągniętymi pod krzesło, pochylony nad stołem i rozparty na łokciach. Oczy wyłaziły mu na wierzch z ciekawości.

Duże pianino, stojące blisko drzwi między dwiema palmami, samo z siebie zagrało nagle walca z wyzywającą biegłością. Hałas, jaki wzniciło, był ogluszający. Przestało grać równie nagle, jak zaczęło, a mały śniady człowieczek w okularach, siedzący naprzeciw Ossipona nad wielkim szklanym kuflem pełnym piwa, wypowiedział spokojnie coś na kształt ogólnego twierdzenia:

– W zasadzie nikt nie ma prawa wtrącać się do tego, co inni wiedzą o jakimś fakcie albo czego nie wiedzą.

– Naturalnie – potwierdził spokojnie towarzysz Ossipon ściszoną głosem. – W zasadzie.

Obejmując dłońmi wielką, czerwoną twarz, patrzył w dalszym ciągu z wyteżoną uwagą na śniadego człowieczka w okularach, który pociągnął spokojnie łyk piwa i postawił kufel z powrotem. Jego płaskie, wielkie uszy odstawały od czaszki, która wydawała się tak krucha, że Ossipon mógłby chyba ją zgnieść między kciukiem a palcem wskazującym. Wypukłe czoło człowieczka jakby opierało się o brzeg jego okularów; na płaskich policzkach o tłustej, niezdrowej cerze widać było smugi nędznych, rzadkich, ciemnych bokobrodów. Niewypowiedzianie marna kompleksja fizyczna tego osobnika stawała się pocieszna w zestawieniu z jego obejściem pełnym najwyższej pewności siebie. Wyrażał się zwięźle, a jego milczenie wydawało się szczególnie doniosłe.

Ossipon mruknął znów poprzez palce:

– Długo byliście dziś na mieście?

– Nie. Całe rano leżałem w łóżku – odrzekł tamten. – A bo co?

– Ach, nic – rzekł Ossipon, patrząc w niego z powagą; skręcał się w duchu z pragnienia, żeby coś wymyszkować, lecz był najwidoczniej onieśmielony wyrazem przygniatającej obojętności na twarzy człowieczka. Barczysty Ossipon cierpiał od pocucia moralnej, a nawet fizycznej niższości, gdy rozmawiał z tym towarzyszem, co zresztą zdarzało się rzadko. Jednak odważył się zadać jeszcze jedno pytanie: – Czyście przyszli pieszo?

– Nie, przyjechałem omnibusem – odpowiedział człowieczek dość żwawo. Mieszkał daleko na przedmieściu Islington³⁸, w małym domku na niechlujnej ulicy usianej słomą i brudnymi papierami; w godzinach pozaszkolnych banda przeróżnych dzieci biegła tam i kłóciła się wśród ostrych wrzasków niemających nic wspólnego z wesołością. Pokój człowieczka wychodził na podwórze i odznaczał się bardzo wielkim kredensem; lokator wynajmował ten pokój z meblami od dwóch starych panien, które za skromnym wynagrodzeniem szyły suknie dla klienteli złożonej przeważnie ze służących. Zaopatrzył kredens w wielką kłódkę, poza tym był to lokator wzorowy, niesprawiający żadnego kłopotu i niewymagający właściwie żadnych usług. Jego dziwactwa polegały na tym, że musiał być zawsze obecny przy zamiataniu pokoju, a wychodząc, zamykał drzwi i brał klucz z sobą.

Ossipon ujrzał w myśli na szczycie omnibusu te okulary w czarnej oprawie; oto suną wzdłuż ulic, a ich zarozumiałe błyski padają tu i ówdzie na ściany domów lub na głowy nieświadomego tłumu płynącego chodnikami. Cień bladego uśmiechu zmącił linię grubych warg Ossipona, który wyobraził sobie, że ściany domów się chwieją, a ludzie uciekają co sił na widok tych okularów. Gdybyż wiedzieli! Cóż by to była za panika! Mruknął pytająco:

– Dawno tu siedzicie?

³⁸ *Islington* – dzielnica mieszkalna ok. 6 km od centrum Londynu, od połowy XIX do połowy XX w. zaniedbana i zamieszkiwana głównie przez biedotę. [przypis edytorski]

– Coś około godziny – odrzekł tamten niedbale i znów pociągnął łyk czarnego piwa. Jego ruchy – sposób, w jaki ujmował kufel, sam akt picia, sposób, w jaki stawiał ciężkie naczynie i krzyżował ręce – wszystko zdradzało stanowczość i niezawodną precyzję; natomiast wielki, muskularny Ossipon, pochylony naprzód z wlepionymi w człowieka oczyma i wysuniętymi wargami, w porównaniu do tamtego wyglądał jak wcielenie niepewności i zaciekawienia.

– Około godziny – powtórzył. – Więc może jeszcze nie wiecie o nowinie, którą słyszałem przed chwilą na ulicy. Co?

Człowieczek uczynił głową nieznaczny ruch przeczący. Ale ponieważ nie okazał żadnego zainteresowania, Ossipon ośmielił się dodać, że usłyszał ową nowinę akurat przed wejściem do kawiarni. Mały roznosiciel gazet wrzasnął mu ją w samo ucho, a że Ossipon nie był przygotowany na fakt tego rodzaju, bardzo nim to wstrząsnęło i wyprowadziło go z równowagi. Musiał tu zejść, bo zaschło mu w gardle.

– Nie przypuszczałem nigdy, że was tu zastanę – dodał, wciąż szeptem, z łokciami opartymi o stół.

– Zachodzę tu czasami – rzekł tamten, nie zmieniając ani na jotę wyzywającego chłodu obejścia.

– To nadzwyczajne, że właśnie wy o tym nie słyszeliście – ciągnął barczysty Ossipon. Powieki jego roziskrzonych oczu zatrzepotały nerwowo. – Właśnie wy – powtórzył, ciągnąc tamtego za język. Ta widoczna powściągliwość Ossipona zdradzała niewiarygodną i zagadkową nieśmiałość wielkiego

draba w stosunku do spokojnego człowieczka, który szorstkimi, pewnymi ruchami podniósł znów szklany kufel, napił się, postawił go z powrotem. I to było wszystko.

Ossipon czekał chwilę na próżno na jakieś słowo lub gest, siłąc się na sztuczną obojętność. Ściszył głos jeszcze bardziej i rzekł:

– Czy wy dajecie ten wasz proch każdemu, kto was o to poprosi?

– Moją niewzruszoną zasadą jest nie odmawiać nigdy nikomu... póki mam przy sobie choć szczyptę – odrzekł człowieczek stanowczym tonem.

– To jest wasza zasada? – spytał Ossipon.

– To jest moja zasada.

– I uważacie to za rozsądne?

Wielkie, okrągłe okulary, które nadawały wybladłej twarzy człowieczka wyraz niewzruszonej pewności siebie, tkwiły naprzeciw Ossipona niby bezsenne, nieruchome oczy błyskające zimnym ogniem.

– Bezwzględnie. Zawsze. We wszystkich okolicznościach. Cóż by mnie mogło od tego powstrzymać? Dlaczego nie mam tego robić? Dlaczego mam się wahać?

Ossipon jak gdyby sapnął dyskretnie.

– Czy chcecie powiedzieć, że dalibyście waszego towaru nawet szpiclowi, gdyby przyszedł i poprosił?

Człowieczek uśmiechnął się z lekka.

– Niech któryś z nich spróbuje, a wtedy zobaczycie – odpowiedział. – Znają mnie, ale ja znam także każdego z nich.

Nie zbliżają się do mnie, nie ma obawy.

Jego cienkie, sine wargi zacisnęły się mocno. Ossipon podjął znowu:

– Ale mogliby kogoś podesłać i nabić was w butelkę. Czy wy tego nie rozumiecie? Mogliby to w ten sposób od was wydostać, a potem was zaaresztować z dowodem w ręku.

– Z dowodem czego? Chyba tego, że handluję materiałami wybuchowymi bez pozwolenia. – Miało to być pogardliwe szyderstwo, lecz wyraz szczupłej, chorowitej twarzy nie zmienił się, a ton głosu był niedbały. – Nie będą się kwapili mnie zaaresztować. Wątpię, aby któryś z nich zgłosił się po rozkaz arestowania. Choćby i najdzielniejszy. Nikt się nie zgłosi.

– Dlaczego? – zapytał Ossipon.

– Bo wiedzą bardzo dobrze, że nigdy się nie rozstaję z ostatnią garścią swego towaru. Mam go zawsze przy sobie. – Dotknął lekko surduta na piersi. – W grubym szklanym flaconie – dodał.

– Słyszałem o tym – rzekł Ossipon z odcieniem podziwu w głosie. – Ale nie wiedziałem, że...

– Oni wiedzą – przerwał cierpko człowieczek, opierając się plecami o krzesło, które górowało oparciem nad jego małą głową. – Nie zaaresztują mnie nigdy. Ten kawał nie opłaciłby się żadnemu policjantowi. Uporanie się z takim człowiekiem jak ja wymaga bezinteresownego bohaterstwa, bohaterstwa bez sławy.

Znowu zacisnął usta z miną bardzo pewną siebie. Ossipon powściągnął ruch zniecierpliwienia i odparł:

– Albo zuchwałości... albo po prostu nieświadomości.

Mogliby powierzyć to zadanie komuś, kto nie wie, że nosicie w kieszeni dość materiału wybuchowego, aby wysadzić w powietrze siebie i wszystko naokoło w promieniu sześćdziesięciu jardów.

– Nie twierdziłem nigdy, że nie można mnie usunąć – odparł tamten. – Ale to by nie było aresztowanie. Przy tym nie takie to łatwe, jak się zdaje.

– Et! – zaprzeczył Ossipon. – Nie bądźcie tacy pewni siebie. Któż zaręczy, że z pół tuzina policjantów nie skoczy na was z tyłu na ulicy? Gdyby wam przygwoździli ręce do boków, to byście nie mogli nic zrobić... no bo jakże?

– Owszem, mógłbym. Wychodzę rzadko o zmroku – rzekł obojętnie człowieczek – i nigdy bardzo późno. Trzymam rękę na gumowej gruszce, którą noszę zawsze w lewej kieszeni spodni. Naciśnięcie tej gruszki oddziaływa na zapalnik w środku flakonu, znajdującego się w przedniej kieszeni marynarki. Na takiej samej zasadzie jest zbudowana migawka aparatu fotograficznego. Rurka prowadzi w górę do...

Szybkim ruchem uchylił marynarkę i Ossipon zobaczył gumową rurkę podobną do cienkiej brunatnej glisty, wychodzącą z kamizelki, z otworu pachy, i zanurzoną w wewnętrznej przedniej kieszeni marynarki. Odzienie człowieczka, nieokreślonego brązowego koloru, było wytarte i poplamione, pełne kurzu w załamkach; dziurki od guzików były obszarpane.

– Zapalnik jest częściowo mechaniczny, a częściowo

chemiczny – wyjaśnił człowieczek z niedbałą łaskawością.

– Działa oczywiście natychmiast? – szepnął Ossipon z lekkim dreszczem.

– Ale gdzież tam – wyznał tamten z niechęcią, która wykrzywiła mu usta jakby skurczem bólu. – Całych dwadzieścia sekund musi upłynąć od chwili, gdy naciśnę gruszkę, aż do chwili wybuchu.

– Fiu! – gwizdnął Ossipon, do reszty przerażony. – Dwadzieścia sekund! Okropność! I wy uważacie, że moglibyście to wytrzymać? Ja bym zwariował.

– Dziura by się w niebie nie zrobiła. Oczywiście jest to słaba strona tego systemu, który przeznaczyłem tylko na własny użytek. Co gorsza, sposób, w jaki wybuch następuje, jest stale słabą stroną naszych bomb. Usiłuję wynaleźć zapalnik, który by się dostosowywał do wszystkich warunków akcji i nawet do nieoczekiwanych zmian tych warunków. Mechanizm giętki, a jednak idealnie precyzyjny. Zapalnik prawdziwie inteligentny.

– Dwadzieścia sekund – mruknął znów Ossipon. – Brr! A potem...

Człowieczek odwrócił z lekka głowę; połysk jego okularów zdawał się mierzyć objętość piwiarni mieszczącej się w podziemiach słynnej restauracji „Sylen”.

– Nikt nie uszedłby cało z tej sali – zabrzmiał wyrok, który był wynikiem oględzin. – Nawet tych dwoje idących w górę po schodach.

Pianino u stóp klatki schodowej huknęło mazura z beczelną

natarczywością. Klawisze zapadały się i podnosiły w tajemniczy sposób; wyglądało to na popis jakiegoś pospolitego i zuchwałego ducha. Potem wszystko ucichło. Przez chwilę Ossipon wyobrażał sobie tę rozgorzałą od światła salę zamienioną w straszną, czarną jamę pełną kotłującego się wstrętnego dymu, zawaloną ohydным rumowiskiem ceglanego gruzu i okaleczonymi ciałami. Ujrzał tak wyraźnie obraz zniszczenia i śmierci, że wstrząsnął się znowu. Jego towarzysz rzekł z miną spokojną i zarozumiałą:

– W gruncie rzeczy bezpieczeństwo człowieka zależy tylko od jego charakteru. Bardzo jest mało na świecie ludzi o charakterze tak opanowanym jak mój.

– Ciekawym, jakeście do tego doszli – burknął Ossipon.

– Siła indywidualności – rzekł tamten, nie podnosząc głosu; krzepki Ossipon słysząc to zdanie z ust człowieka o tak nędznej postaci, przygryzł dolną wargę. – Siła indywidualności – powtórzył człowieczek z ostentacyjnym spokojem. – Mam środki po temu, aby być śmiercionośnym, ale rozumiecie, że ten fakt sam przez się nie jest dla mnie żadną ochroną. Broni mnie tylko przekonanie tych ludzi, że swoich środków użyję. Wierzą w to. Nieodparcie. I dlatego jestem śmiercionośny.

– Wśród nich są także silne indywidualności – mruknął złowrogo Ossipon.

– Możliwe. Ale widać chodzi o stopień siły, bo na przykład ja się ich nie boję. Na tym polega ich niższość. Oni nie mogą być inni. Ich charakter jest ugruntowany na konwencjonalnej moralności. Opiera się na społecznym porządku. Mój charakter

wolny jest od wszystkiego, co sztuczne. Oni są skrępowani mnóstwem konwencjonalnych przepisów. Związani są z życiem, które w tym wypadku jest tworem historycznym, zależnym od różnych względów i ograniczeń, złożonym, zorganizowanym tworem wystawionym zewsząd na ataki; tymczasem ja związany jestem ze śmiercią, która nie zna żadnych ograniczeń i której atakować nie można. Moja wyższość jest oczywista.

– Ujmujecie to w sposób transcendentálny – rzekł Ossipon, śledząc zimny połysk okularów. – Słyszałem niedawno, jak Karl Yundt mówił coś bardzo podobnego.

– Karl Yundt – mruknął tamten pogardliwie – delegat Międzynarodowego Czerwonego Komitetu, był przez całe życie pozującym cieniem. Jest tu was trzech delegatów, prawda? Nie będę określał dwóch pozostałych, bo jednym z nich wy jesteście. To, co wszyscy trzej mówicie, nie ma w ogóle żadnego znaczenia. Jesteście szacownymi delegatami do spraw propagandy rewolucyjnej, ale w tym sęk, że nie tylko nie potraficie myśleć niezależnie, zupełnie jak pierwszy lepszy szanowany kupiec czy dziennikarz, lecz żaden z was nie ma siły charakteru.

Ossipon nie mógł powstrzymać odruchu oburzenia.

– Czegóż wy od nas chcecie? – wykrzyknął stłumionym głosem. – I nad czym pracujecie sami?

– Nad udoskonaleniem zapalnika – brzmiała stanowcza odpowiedź. – Cóż znaczy ta krzywa mina? Widzicie, nie możecie znieść nawet wzmianki o czymś decydującym.

– Ja się wcale nie krzywię – warknął brutalnie udręczony Ossipon.

– Wy, rewolucjoniści – ciągnął tamten ze swobodną pewnością siebie – jesteście wszyscy w niewoli u porządku społecznego, który się was obawia; w niewoli zupełnie takiej samej, jak policja broniąca tego porządku. To jasne, że jesteście jego niewolnikami, ponieważ chcecie ten porządek zrewolucjonizować. On rządzi zarówno waszą myślą, jak waszymi czynami, i dlatego ani wasze myśli, ani wasze czyny nigdy do niczego nie doprowadzą. – Zamilkł spokojnie, rzekłbyś, ostatecznie, i prawie natychmiast podjął znów: – Nie jesteście ani o włos lepsi od sił przeciw wam zgrupowanych... na przykład od policji. Któregoś dnia zetknąłem się nagle z komisarzem Heatem na rogu Tottenham Court Road. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Ale ja na niego nie patrzyłem. Wystarczył mi jeden rzut oka. On myślał o wielu rzeczach – o swych przełożonych, o swej reputacji, o sądach, o swej pensji, o dziennikach... o tysiącu rzeczy. Ale ja myślałem tylko o swym doskonałym zapalniku. Komisarz Heat był dla mnie niczym. Był dla mnie osobistością tak mało znaczącą jak... nic równie błahego nie mogę sobie przypomnieć – z wyjątkiem może Karla Yundta. Jeden wart drugiego. I terrorysta, i policjant – obaj z tej samej beczki. Rewolucja, legalność – to przeciwne sobie posunięcia w tej samej grze, formy nieróbstwa w gruncie rzeczy identyczne. Oni prowadzą swoją grę – i wy, ideowcy, swoją. Ale ja w żadną grę się nie bawię; ja pracuję czternaście godzin na dobę

i czasem przymieram głodem. Moje doświadczenia wymagają niekiedy pieniędzy, a wtedy muszę się obejść parę dni bez jedzenia. Patrzycie na moje piwo. Tak. Wypiłem już dwa kufle i zaraz wypiję trzeci. Dziś urządziłem sobie święto i obchodzę je w samotności. Czemu nie? Mam dość sił, aby pracować samotnie, zupełnie samotnie, w absolutnej samotności. Pracuję w samotności od lat.

Ciemny rumieniec pokrył twarz Ossipona.

– Nad idealnym zapalnikiem... co? – zadrwił bardzo cicho.

– Tak – odparł tamten. – Dobrzeście to określili. Nie znaleźlibyście nic nawet w części równie ścisłego na określenie waszej działalności, włączając w to wszystkie wasze komitety i delegacje. To ja jestem prawdziwym ideowcem.

– Nie będziemy się o to spierać – rzekł Ossipon, przybierając minę wznoszenia się ponad względy osobiste. – Przykro mi, że będę jednak musiał zepsuć wam święto. Dziś rano w Greenwich Park jakiś człowiek został wysadzony w powietrze.

– Skąd o tym wiecie?

– Już od drugiej wykrzykują tę wiadomość na ulicach. Kupiłem dziennik i wbiegłem tutaj. Potem zobaczyłem, że siedzicie przy tym stoliku. Mam dziennik w kieszeni.

Wyciągnął gazetę – duży różowy arkusz, jakby zarumieniony od żaru swych przekonań, które były optymistyczne. Przebiegł go wzrokiem.

– Aha! Mam. Bomba w Greenwich, w parku. Mało szczegółów na razie. Pół do jedenastej. Mglisty ranek.

Skutki wybuchu odczuto aż na Romney Road i Park Place. Olbrzymia wyrwa w ziemi pod drzewem, pełna zmiażdżonych korzeni i połamanych gałęzi. Naokoło szczątki ludzkiego ciała rozerwanego na strzępy. To już wszystko. Reszta same dziennikarskie bzdury. Piszą, że to z pewnością zbrodniczy zamach na obserwatorium. Hm. Trudno temu uwierzyć.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.